

LIBERUM VETO

pismo narodowo-radyczne.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie Mk. 48.

Półrocznie „ 24.

Kwartalnie „ 12.

Miesięcznie „ 4.

Za przesyłkę pocztową 1 mk miesięcznie.

Cena egzemplarza Mk. 1.50.

Adres Redakcji: ul. Żórawia 7.

Prenumerować można w Administracji „Biblioteki Dziel Wyborowych“, ul. Sienkiewicza 12, we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincji oraz w kioskach kolejowych.

Za dostarczanie do domu 50 fen.

Co z Konstytucją?

O ile wiadomości z komisji konstytucyjnej przez Sejm Walny wybranej przedarły się do publiczności, to nad konstytucją nie radziła ona dotąd wcale i żadna partja tam reprezentowana, z projektem swym w tej komisji nie wystąpiła. Taksamo i rząd z żadnym projektem własnym dotąd wobec sejmu nie wystąpił. Wyłoniło się wprawdzie poza sejmem i poza rządem kilka projektów, ale żaden z nich nie ma, jak dotąd, oficjalnego charakteru; to też sprawę ułożenia konstytucji dla Polski można śmiało zaliczyć do takich, które nie są jeszcze właściwie ani przez rząd, ani przez sejm rozpoczętemi.

Z projektów, jakie się dotąd wyłoniły, zasługuje na uwagę najprzód projekt prof. Buzka, ale różny od tego, który powstał również za jego współudziałem jeszcze z inicjatywy dawnej Rady stanu i opierał się na koncepcji monarchicznej. Ten nowy projekt liczy się z formą rządu republikańską a charakteryzuje się nader daleko idącą tendencją przetworzenia Polski na federację niemal kantonów szwajcarskich czy stanów amerykańskich.

Drugi projekt pochodzi z kół radykalnych, jak wskazuje zresztą sama nazwa projektu „Konstytucja Polskiej Republiki Ludowej“. Powstał on widocznie pod wpływem atmosfery, jaka panowała w Warszawie w początkach rządów gabinetu Moraczewskiego, kiedy sądzono, że socjaliści opanowali władzę na stałe i że w spadku po sobie pozostawiają nie tylko ordynację wyborczą ale i konstytucję. Dzisiaj jest już rzeczą jasną, że konstytucja, utrwalająca panowanie socjalizmu, nie może liczyć w sejmie na powodzenie.

Jakieś nieokreślone bliżej „biuro“, stworzone przed kilku miesiącami przez

ówczesne ministerjum spraw wewnętrznych, wypracowało trzeci projekt konstytucji, którego jednak rząd nie uznał za swój, — gdyż projekt jest czysto kompilacyjny i do stosunków polskich nie dopasowany.

Następny projekt, wypracowany został w ubiegłym miesiącu przez ankietę, powołaną przez rząd, celem obrad nad tą kwestją. Sam fakt powołania tej ankiety obudził w sejmie, jak wiadomo, zaniepokojenie: obawiano się, aby ankietka nie uzurpowała sobie praw komisji sejmowej. Rezultatem dwutygodniowych obrad ankiety jest obszerniejszy projekt konstytucyjny, oparty na daleko idących zasadach demokratycznych, znajdujących swój wyraz w tego rodzaju pojęciach i przepisach, jak suwerenność narodu, republikańska forma rządu, pięcioprzymiotnikowe i obuściowe głosowanie powszechne, wybór prezydenta państwa na wzór amerykański (przez specjalnych wyborców, a nie przez zwykły sejm), dwuizbowość z izbą wyższą wybieralną, samorząd ziem szeroko rozwinięty, rada stanu, przygotowująca ważniejsze projekty kodyfikacyjne dla sejmu i t. p. Projektowi ankiety dodano motywy, uzasadniające ważniejsze postanowienia projektu.

Elaborat ankiety, złożony do rąk prezydentowi Paderewskiemu, który ją zwołał, przesłał tenże komisji konstytucyjnej do wiadomości. Dłuższy czas przeleżał ten elaborat w aktach komisji. Komisja pod przewodnictwem pos. Wł. Seydy w obecności ministra Wojciechowskiego i delegata rządu Wakara, podjęła rozprawę formalną w przedmiocie złożonego do łaski marszałkowskiej i przekazanego komisji projektu konstytucji. Wobec wyjaśnienia, że projekt ów jest elaboratem ankiety przy Radzie

ministrów, komisja postanowiła projektu nie traktować.

Następny projekt mecenasa St. Hłaski i dr. Józefa Polaka oparty jest na materiałach opracowanych w Biurze Pracy Społecznej i po części na projekcie b. Komisji Konstytucyjno-Sejmowej T. Rady Stanu. (projekt wydrukowany).

Autorzy dali nam raczej szkic projektu, jako materiał do dyskusji. Jak sami zaznaczają w przedmowie, mieli na celu „przedewszystkiem zainteresowanie sprawą konstytucji polityków naszych i ogółu myślącego“. Według projektu pp. Hłaski i Polaka składać by się miał Sejm z izby poselskiej i senatu. Tę dwuizbowość Sejmu autorzy projektu konstytucji uważają słusznie za gwarancję trwałości i dokładnego formułowania spraw.

Sposób, w jaki pragnęliby utworzyć izbę wyższą, mówi, że chodziłoby o zgromadzenie w Senacie rzeczoznawców różnych dziedzin życia gospodarczego kraju. Wśród 80 członków Senatu obieralnych, połowę miałyby wybierać samorządy ziemskie i miejskie, a pozostałą połowę — instytucje naukowe, stowarzyszenia rolnicze i wyższe przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe, po 10-u z każdej grupy. I wśród delegatów stowarzyszeń rolniczych nie mogą się znajdować przedstawiciele włościańskiej drobnej własności rolnej, gdyż nie posiadają oni u nas jeszcze dotychczas dyplomów uniwersyteckich, a senatorem mógłby być według projektu jedynie obywatel, posiadający wyższe wykształcenie naukowe.

Władzę prawodawczą w Rzeczypospolitej — według projektu — ma sprawować Sejm, władzę wykonawczą, zwierzchnik Rzeczypospolitej.

Tym zwierzchnikiem ma być — zdaniem projektodawców — albo król albo prezydent. Par. 68 projektu ustawy konstytucyjnej opiewa:

„Sejm konstytucyjny uchwali, czy naczelną władzę Rzeczypospolitej ma

reprezentować i w myśl niniejszej konstytucji sprawować król czy prezydent. Uchwała ta może być następnie zmieniona przez każdy sejm w drodze zmiany konstytucji i prezydent zastąpiony przez króla lub odwrotnie. W następnym par. czytamy: „O ile, zgodnie z wolą narodu objawioną w uchwale Sejmu miałby król sprawować najwyższą władzę wykonawczą w Rzeczypospolitej, natenczas Sejm konstytucyjny uchwali ustawę o sposobie obrania króla, dożywności, lub dziedziczności jego władzy, regencji, tudzież szczególne przepisy o majestacie królewskim, o liście cywilnej. Jeżeli Sejm konstytucyjny uchwali, że władzę najwyższą w Rzeczypospolitej ma sprawować prezydent, to tak samo Sejm ustanowi sposób obierania prezydentów, dożywności lub termin ich urzędowania oraz szczególne przepisy o godności prezydenta i o kosztach jego urzędu“.

Dyskusja nad tak doniosłymi kwe-

stjami, jak sprawa wojska, granic, walu, agrarnych i społecznych reform, przytłumiła zainteresowanie w społeczeństwie dla sprawy przyszłej konstytucji. A jednak jest to z pewnością sprawa równie doniosła. Sposób jej załatwienia będzie na długie lata rozstrzygać o polityce wewnętrznej w Polsce. Braki i błędy w konstytucji, odbijają się nader ujemnie na wewnętrznym spokoju i na równowadze naszego organizmu. Jeśliby sejm uniemożliwił powstanie w Polsce rządu silnego, sprawnego i zdolnego do działania, jeśliby nie stworzył dzieła równie dostosowanego do stosunków polskich i równie oryginalnego, jak Konstytucja 3 Maja, jeśliby wreszcie nie uwzględnił wielu drogocennych i doniosłych właściwości kultury i duszy polskiej, ale starał się narzucić pomysły abstrakcyjne zapożyczone, to wyrządziłyby naszej przyszłości wielką szkodę.

Posel.

Sztandary.

W r. 1917, jeszcze przed zjazdem wojskowych Polaków, który się odbył w Petersburgu w czerwcu, część prasy polskiej na wygnaniu rosyjskim uczyniła wielki hałas w sprawie sztandarów, ongi nam zabranych przez Rosjan i umieszczonych w moskiewskim Kremlu. Owa właśnie część prasy domagała się koniecznie, aby te sztandary odesłano na front dla Dywizji Polskiej, która miała stanowić jądro armji polskiej, formującej się w Rosji. Zdaje mi się, że Polacy byli jedynym narodem na kuli ziemskiej, który podczas wojny obecnej wszczął sprawę o sztandary. Narody, głębiej patrzące na zadania wojskowe, budowały armaty, kulomioty, czołgi, łódki podwodne, pancerniki i samoloty, a my wiele zmarnowaliśmy czasu i papieru na kłótnie w sprawie sztandarów. Oczywiście najwięcej o tem pisali ludzie nie wojskowi, lub tak zwani wojskowi, którym mobilizacja wsaadziła na karki mundury wojskowe, a którzy byli takimi wojskowymi, jak każdy z nas jest fakirem hinduskim.

Trzeba bowiem wiedzieć, że sztandary na wojnie współczesnej nietylko są niepotrzebne, ale nawet wręcz szkodliwe. Dawniej sztandary miały znaczenie, kiedy najważniejszym czynnikiem boju był koń i miecz. Wtedy koło sztandaru skupiali się najlepsi rycerze i również najlepsi rycerze nacierali na sztandar, bo zdobyć go było wielką chlubą i sławą rycerską. Teraz zmieniło się wszystko. W bojach współczesnych sztandary nigdy udziału nie biorą, stoją ukryte na kilkanaście wiorst od linii bojowej, a dla obrony swojej potrzebują sporą ilość żołnierzy, trzymanych w rezerwie zupełnie bez pożytku. Dla tego niektórzy przezorni do-

wódcy pułków, idąc na wojnę, odesłali sztandary w głąb państwa. I mieli rację. Na wojnie, bowiem, rozumny wódz tak kieruje swoim oddziałem, aby żaden żołnierz nie zostawał na tyłach bez potrzeby, lecz był wykorzystany w linii bojowej. Tymczasem dla obrony sztandaru pułkowego trzeba co najmniej 12 ludzi; 300-tysięczna armja, składająca się z 100 pułków, ma takich darmozjadów 1200, na utrzymanie których państwo wydaje grubą sumę pieniędzy bez najmniejszego pożytku.

Nasze sztandary Kościuszkowskie, i z powstania 1830 i 1863 r., stojące obecnie w Kremlu, wcale nie nadają się do noszenia na froncie po lasach i polach, bo stare są i zniszczone. One czekają tylko chwili, aby przywędrować z Moskwy do Warszawy i stanąć w muzeum, jako święta i droga dla nas pamiętka.

Zdawałoby się, że teraz, gdy żołnierzom brakuje karabinów i mundurów, gdy ci żołnierze nasi są źle karmieni, dziecinną jest naiwnością mówić o braku sztandarów i rozpoczynać spór w tej sprawie. Jednak to uczyniono w jednej z gazet warszawskich.

Pezwolimy sobie przytoczyć ustęp, który uważamy za błędny:

„Generała Henrys, witanego przed kilku dniami przy wjeździe do Warszawy, uderzyło, że oddział wojska pełniący funkcje warty honorowej przy jego spotkaniu, nie miał sztandaru.

„Wprawne oko dzielnego generała francuskiego od razu dostrzegło tę anomalję wojskową, jaką jest wojsko bez sztandaru.

„Odrzuć więc na wstępie generał fran-

cuski otworzył kursa instruktorskie dla naszych augurów ultrawojskowych, dając im próbną lekcję znajomości rzeczy wojskowych i... politycznych...

„Trafne spostrzeżenie generała Henrys, uczynione na pierwszym kroku, jaki postawił w Warszawie, dowodzi, jak nam, wbrew opinji i życzeniom lewicowych krzykaczy, przydadzą się przy budowie regularnej istotnie armji instruktorzy francuscy. Pierwszą lekcją wojskowości była uwaga zrobiona przez generała sojuszniczej armji przy powitaniu.

„Nietaktem z punktu widzenia wojskowego i politycznego było wystawienie warty honorowej bez sztandaru, pochyle niem którego winien był być witany przybywający do nas z ważnymi pełnomocnictwami przedstawiciel państwa zaprzyjaźnionego, wysoki przytem i wybitny dostojnik wojskowy...

„Jestem pewien, że na pytanie „czemu dotychczas nie pomyślano o obdarzeniu przez rząd wojska naszego sztandarami“ usłyszałbym stereotypową odpowiedź o dotychczasowym braku konstytucji“...

Tak piszą w tej sprawie. Mocno wątpię, żeby generał Henrys komukolwiek zwrócił uwagę na brak sztandaru w warty honorowej, bo, jako stary żołnierz, rozumie, że sztandar pochyła się tylko przed jedną jedyną osobą w państwie — Głową Państwa, lub przed innym sztandarem, ale nigdy przed żadnym generałem. Co prawda grzeczność nigdy nie zaszkodzi, trzeba jednak pamiętać, iż grzeczność nie ma wspólnego z lokajstwem i każda grzeczność powinna być połączona z poczuciem własnej osobistej i narodowej godności.

Byłoby zbrodnią, gdyby rząd więcej poświęcał uwagi sztandarom, a mniej broni i mundurów. Bez sztandaru wojsko może istnieć i potrafi nawet bronić Lwowa, ale bez karabinów i ubrania nic nie poradzi. Prawda, że sztandary mają swoją tradycję, lecz w wojnie współczesnej straciły wszelkie znaczenie. Wkrótce sztandary przejdą do tradycji, jak ceremonje poświęcenia giermka w stan rycerski, które w średnich wiekach miały tak wielkie znaczenie, a na które kandydat na rycerza wyczekiwał z wielką niecierpliwością i z zazdrością patrzył na ostrogi i miecz prawdziwego rycerza.

Nawet i teraz nie wszystkie rodzaje broni miały i mają sztandary. Artylerja, na przykład, zupełnie nie posiada tego upiększenia i wcale nie odczuwa braku sztandaru, a jednak wojna współczesna pokazała, że artylerja jest najważniejszym czynnikiem bojów teraźniejszych, od którego w grzy padają najsilniejsze twierdze: Sewastopol, Metz, Strasburg, Port-Artur, Adrianopol, Antwerpja, Brześć, Modlin, Kowno, Grodno...

Dawniej, za czasów monarchicznych armja była nie tylko obroną granic państwowych, ale i zabawą w rękach satrapów, ukoronowanych. Teraz trony monarchie w grzy leżą i armja pozostaje

tylko obroną państwa, a więc wszystko to, co niepotrzebne do obrony, a co jednak drogo kosztuje, powinno być raz na zawsze skasowane.

Jeżeli państwo na stopie pokojowej ma 100 pułków kadrowych, ma więc 100 sztandarów, do których trzeba wystawić 100 wart po 4 żołnierzy każda warta. Ponieważ warta jest służbą bardzo uciążliwą i żołnierze po dniu warty muszą mieć dzień odpoczynku, gdyż

dowódca warty w ciągu 24 godzin nie ma prawa nie tylko położyć się, ale nawet zabrania mu się drzemać siedząc, więc dziennie 100 pułków traci bez pożytku 800 ludzi, czyli rocznie 292,000. Licząc utrzymanie żołnierza, co najmniej po 10 marek dziennie, 100 sztandarów pochłonie rocznie 3 miliony marek! To chyba zadroga przyjemność!

Pułkownik Adolf Małyszko

I Warmja się budzi!

Głosy dochodzące nas z Warmji mówią o żywym tętnie, którem zaczyna bić tam życie narodowe. Idea polska coraz szersze zatacza koła i wyraża się nawet na wsiach, przez Niemców i ich przyjaciół zwołanych, gdzie na zapytanie, dokąd należeć chcą, lud warmijski olbrzymią odpowiada większością: do Polski, do Polski. Na wsiach urządzanych przez wójtów, landratów i urzędników lud domaga się języka polskiego i niezrażony obecnością żandarmów śmiało przeczy mówcom, chwalać im raj niemiecki.

Jak wiadomo Warmja, niegdyś udzielne księstwo biskupie, przeszła z pod lenna krzyżackiego pod zwierzchność Polski na mocy pokoju toruńskiego (1466 r.), który równocześnie zwracał Polsce Prusy Królewskie. Kraik ten tworzy klin rozciągający się od brzegu bałtyckiego w kierunku południowo-wschodnim, aż w pobliże dawnej granicy polskiej, ze wszystkich zresztą stron otoczony przez terytorjum Prus Książęcych, tak, że część południowa Warmji znajduje się już na obszarze językowym mazurskim. Ludność jednak Warmji różni się od Mazurów wyznaniem. Warmiacy bowiem jako niegdyś poddani biskupów są katolikami.

Z dwóch powiatów tworzących południową część Warmji powiat Olsztyński jest niemal czysto polski, powiat zaś Reszelski (Rössel) w mniejszej części. Wprawdzie urzędowa statystyka pruska na podstawie spisu z r. 1905 wykazała w pow. Olsztyńskim Polaków (wraz z tak zw. dwu-języcznym) tylko 40 tys., na 85.000 ludności całego powiatu, wiadomo jednak, co sędzić o „bezsronności” i wiarygodności statystyk pruskich o ile odnoszą się do Polaków. Ale i wedle urzędowego spisu dokładnie widać, że ludność wiejska powiatu olsztyńskiego w olbrzymiej przewadze jest polska. Niemcy skupiają się głównie w miastach, przynajmniej ludność miejska za niemiecką przeważnie się podaje, choć nazwiska polskie przeważają wśród mieszkańców Olsztyna.

Na 129 gmin wiejskich powiatu Olsztyńskiego 106 posiada większość polską. W powiecie Reszelskim sąsiadującym z pow. Olsztyńskim Polacy skupieni są głównie w 14 gminach wiejskich o większości polskiej. Ta 50-tysięczna ludność polska południowej Warmji przy pierwszym jeszcze rozbiórce, a więc przed

147 laty oderwana od Polski, przez cały ten okres półtorawiekowy wystawiona na wpływy germanizacyjne popierane forsonnie całym aparatem pruskiego ucisku, z trzech stron, bo od północy, wschodu i zachodu okolona obszarem zgermanizowanym, na południu granicząca ze słabo pod względem narodowym uświadomionymi protestanckimi Mazurami wschodniopruskimi, oddalona znacznie od Wielkopolski, po części zapomniana przez rodaków, zdawało się, że na nieuchronną już zagładę jest skazana. Rzeczywiście też germanizacja wielkie zdołała poczynić szczyrby wśród tamtejszej polskości.

Otóż gdy teraz w rezultacie wojny europejskiej dawny rząd upadł, gdy stosunki w ostatnich miesiącach nieco się zmieniły, ten zdawało się uśpiony, a nawet zamierzający żywić polski na Warmji oknął się, że zdumiewającą i niespodziewaną wprost energią przystąpił do organizowania życia narodowego, obudziła się potrzeba nauki języka polskiego nawet u tych, którzy już go w życiu domowym zarzucili.

Podczas wyborów do rad gminnych Polacy w wielu miejscowościach odnieśli zwycięstwo nad Niemcami. W mieście Olsztynie radnym wybrano redaktora Nowakowskiego. Jest to pierwszy radny Polak od lat niepamiętnych!

Chcąc przystąpić do zorganizowania szkolnictwa polskiego na Warmji, założono przedewszystkiem polskie seminarjum nauczycielskie w Olsztynie. Ten pierwszy polski zakład naukowy na Warmji powstał w grudniu ub. r. pod kierownictwem p. Sosny, red. „Gazety Olsztyńskiej”.

Do seminarjum zapisało się od razu 50 uczniów płci obojga. Równocześnie założono też ochronkę dla polskich dzieci w Olsztynie.

Rzeczą charakterystyczną jest iż „Gazeta Olsztyńska” rozpoczęła obecnie wydawać drugi nakład po niemiecku. Przeznaczony on jest dla tych Warmiaków, którzy wystawieni na zewsząd ich zalewającą niemiecką częściowo już zatracili mowę ojczystą. Czytanie dla nich w języku polskim jest trudnym lub nawet niemożliwym. „Gazeta Olsztyńska” rozpowszechniona jest na Warmji niezmiernie. Na wsi znajduje się ona niemal w każdym domu.

W Olsztynie, mieście zupełnie. pozor-

nie, zgermanizowanym dziś poczynają się pokazywać na ulicy napisy i szyldy polskie. Nauczyciele i nauczycielki języka polskiego nadzwyczaj są poszukiwani do domów prywatnych tak w mieście samem jak też i na wsi.

Niemcy wszelkie wyteżają siły, by tamować żywiołowy ruch na Warmji. Regencja olsztyńska pod naciskiem z góry przyjęła agitatorów płatnych, których zadaniem objeżdżanie wiosek i zohydzenie polskości. Według „Gazety Olsztyńskiej” nie cofają się pewne koła od rozsyłania przewodnikom polskim listów z pogróżkami i wyrokami śmierci.

Nie zrażeni pionierzy polscy wyteżają wszystkie siły w pracy na niwie polskiej, tem wdzięczniejszej, że żywem odbijając się echem wśród ludności warmijskiej. Wiece w Gietrzwałdzie, Gietkowie, Brunswaldzie, Lengajnach, Sząbruku są wdzięcznym tej pracy wyrazem.

Z wszystkich zakątków Warmji odzywają się głosy, że po wioskach i siolach siedzą Warmiacy, strzegący braci swych i pouczający ich o kłamstwach niemieckich.

Otoczony jest Warmiak uzbrojoną nawałą niemiecką. Niedosć, że żołnierz go trapi, ale rząd rozdał jeszcze broń ludności niemieckiej.

Prócz gwałtów i teroru pracuje niezliczony aparat księży centrowych, nauczycieli i urzędników nad spaceniem prawdziwego oblicza polskiego Warmji. W Olsztynie wyłożone są listy, w których zapisać może każdy protest przeciw przynależności do Polski. Niezależnie od tego zbierają nauczyciele podpisy dzieci, które nauczycielowi oprzeć się boją. W Gietkowie, Buchwaldzie, Spręcowie, w Barkwedzie zmusza się dzieci do zbierania podpisów.

Kto zna fabrykowane protesty na Warmji, które Niemcy posługiwać się myślą wobec koalicji, ten nie da się zwieść taktyką krzyżacką. Warmiakowi otworzyły się już oczy. Obudził się. Ni nauczyciel, ni ksiądz centrowiec, ni wójt, ni żandarm, ni opłacany agitator nie za, tamuje już ruchu, który popchnięty toczy się w kierunku Polski. Polacy na Warmji ufają, że Polska o nich nie zapomni i pomocy od nas oczekują, a najgorętszem ich pragnieniem jest rychłe połączenie z niepodległą Polską.

Warmiak z Gietrzwałdu.

Nieporządeczek.

Korupcja i sprzedajność jaka toczy niektóre nasze sfery wojskowo-urzędnicze, przybiera coraz większe rozmiary, zatacza coraz większe kręgi—z drugiej strony rozzuchwalające się w każdym kierunku coraz bardziej paskarstwo i wyzysk uniemożliwiają normalny bieg życia. W stowarzyszeniach, na zebraniach, ogólnie bardzo zresztą w prasie, ogół, to tu, to tam słyszy o różnych nadużyciach i bezprawiach, ale ponieważ ich nie widzi i nie styka się z nie-

mi bezpośrednio, nie zdaje sobie do-
kładnie sprawy z tego ogromu niebez-
pieczeństwa, jakie nam z tej strony
grozi, i w milczącym niezadowolenu
przechodzi do porządku dziennego szarego
dnia. Sprzedajność zaś bezkarnie
coraz więcej się szerzy i w końcu mo-
że przyjąć i u nas, jak ongi w błogo-
sławionej dla czynownictwa Rosji, po-
niekąd prawa obywatelstwa.

Ze wszystkich stron jesteśmy oto-
czeni wrogami, z którymi nierówną
walkę z nadmiernym wysiłkiem toczyć
musimy. Ale ten wewnętrzny wróg,
spowodowany atrofją nerwu patriotycz-
nego u jednych — a bezwzględna chci-
wością u drugich, jest stokroć groźniej-
szy, bo, jako niszczyielski wewnątrz,
rujnuje nasze życie gospodarcze, po-
woduje coraz większy bezład i wywo-
luje coraz większe niezadowolenie mas.
To prawda, i każdy to zrozumie, że
przy procesie kiełkowania państwowo-
ści — biorąc pod uwagę zbiorowisko
najrozmaitszych żywiołów, często wro-
gich tworzeniu się danej państwowości,
ścierających się przekonań politycznych,
warunków socjalnych, brak odpowied-
nych doświadczonych urzędników i t.
p. — muszą być nie pożądane często
zjawiska, wszak i te skonsolidowane
narodowo i praktyczne Czechy również
temu ulegają — ale nie dzieje się to
w takim stopniu i w takiej formie jak
u nas.

Dla przykładu i dla charakterystyki
przejdę do faktów i kilka z nich tylko
przytoczę:

Dwóch inteligentnych rzemieślników
Polaków otworzyło warsztat specjalny
do masowej fabrykacji guzików z orzeł-
kami, orzełków, haków i klamer do
plecaków. Zaraz po wyjściu Niemców
złożyli ofertę i modele, następnie kil-
kakrotnie zgłaszali się po zamówienia
tam gdzie należało — lecz zawsze na-
próżno, zwlekano, obiecywano, wresz-
cie sztychono z nich — natomiast stale
otrzymują zamówienia „pośrednicy“, na-
turalnie po wyższych cenach; ci dopie-
ro od owych „pośredników“ otrzymują
obstalunki, przyczem tak są skrupowa-
ni i wyzyskiwani przez owych „pośre-
dników“, że obowiążani są płacić po
200 M. kary za każdy dzień opóźnienia.

Przedstawiciele dużej w kraju fabry-
ki B-cia G. po długich mozolnych sta-
raniach otrzymują zamówienie na 90,000
sienników z tkaniny papierowej po
14 M. za sztukę. Ofiarowali po 15 M.
zmuszono ich do ustąpienia 1 M. Zao-
fiarowali się dostarczyć po tej cenie—
14 M.—paręset tysięcy sztuk. Odmówio-
no im—natomiast „pośrednikom i han-
dlarzom oddano zamówienie na 300,000
sztek po 19 i 20 M. za sztukę. Jednak-
że, gdyby ogłoszono konkurs, otrzymali-
by te same przedmioty po 10 do 11 M.
za sztukę—dostarczane są one bowiem
z Niemiec po cenie od 7,50 do 9 M.
za sztukę.

Worki jutowe, tak niezbędne, a tru-
dne do zdobycia, pewien urząd zare-
kwirował w ilości 18,000 sztuk po zgod-

nie ustalonej cenie 2 M. 10 f. za
sztukę i to pod warunkiem, że będą
urzędowi przedstawione prawne dowo-
dy nabycia ich od b. okupantów,
w przeciwnym razie worki miały być
na rzecz skarbu skonfiskowane, jako
pozostawiona w komisji własność b.
okupantów. Zjawia się znany „pośre-
dnik“ z „glejtem“ od pewnej instytucji,
wystawionym na jakąś anonimową firmę,
i z prawem wywiezienia worków z da-
nej miejscowości. Ow urząd zabronił
wywiezienia worków przez owego „poś-
rednika“—który, pomimo to, otrzymuje
przepustkę i pozwolenie na wywiezie-
nie worków od pewnej wpływowej oso-
bistości w pewnym mieście czasowo
delegowanej tam z Warszawy i pomi-
mo protestu danego urzędu worki zo-
stają wywiezione i dostarczone powyż-
szej instytucji po cenie M. 4 za sztukę,
a więc własność rządową nabywa po-
wrotnie rząd, tracąc 35,000 M., ewent.
72,000 M.

Pewna firma anonimowa otrzymuje
od pewnej instytucji zamówienia aż na
50,000 kilogramów esencji octowej
80 proc. po cenie ni mniej ni więcej
jak 21 M. za kilo, t. j. na sumę
1,050,000 M. Natomiast firma „Hein-
rich König“ w Lipsku proponowała
w tym czasie w Warszawie po M. 6 za
kilo, co razem z wszelkimi kosztami
wyniosłoby w Warszawie po 8 M. za
kilo. Zdziwienie również musi wywołać
ta wielka ilość zapotrzebowania aż
50,000 kilogramów samej esencji t. j.
5 wagonów?

Pewna na prowincji instytucja
ogłasza w piśmie warszawskim
konkurs na krociowe dostawy róż-
nych przedmiotów. Dzień złożenia
ofert wraz z kaucją naznacza się na 29
danego miesiąca do godziny 12 w po-
łudnie. Ogłoszenie zaś zrobione jest
28-go, 29-go i 30-go t. mejsiaca. Czy
to możliwe, aby w przeciągu 24 godzin,
licząc w to i noc, przeprowadzić kal-
kulację aż 61 najróżnorodniejszych
przedmiotów — zbadać ceny i warunki
dostawy, które można obejrzeć tylko
tam na miejscu? W czym to interesie
dane było ogłoszenie w dzień oznaczo-
nego terminu i po terminie, a nie na
trzy, dwa tygodnie przed terminem, jak
to zwykle szanujące się firmy, czynić obo-
wiązane są? Zresztą kto ponosi koszt
niepotrzebny już dla nikogo ogłosze-
nia, bądź co bądź dużego, umiesz-
czonego w dzień konkursu i dzień po
konkursie? Czy skarb? Nawiasem mó-
wiąc, w pewnej wielkiej instytucji owi
„pośrednicy“ czują się jak u siebie
w domu — wchodzą bez meldowania
się do wszystkich biur — wszędzie ich
pełno—o każdej godzinie i porze mają
wszędzie wolny dostęp—natomiast po-
ważni, bezpośredni reflektanci i do-
stawcy Polacy oraz przedstawiciele fa-
bryk czują się obco i są na każdym
kroku krępowani — muszą godzinami
nieraz oczekiwać zanim ich raczą przy-
jąć. Moznaby przytoczyć jeszcze wiele
taktów, ale to są wszystko drobnostki,

jak te powyżej dla przykładu wymie-
nione, (gdzie rozchodzi się tylko o dzie-
siątki i setki tysięcy marek strat dla
skarbu), natomiast poniżej przytoczone
urywki z umowy, jaka miała być w tych
dniach zawarta, dotyczy—już nie setek
tysięcy ale milionów.

Pewna instytucja X. Y. w Warsza-
wie, „mając uporządkować ruchomy ma-
jątek, pozostały, jako zdobycz wojen-
na“ na pewnym terenie—pisze umowę
w celu powierzenia ad hoc utworzonej
w tym celu anonimowej „spółce“ i zle-
ca jej następujące prace:

Par. 1. a) „Zebrańie, zsegregowanie, in-
wentaryzowanie, zamagazynowanie, dowiezle-
nie do kolei i załadowanie do wagonów ko-
lejowych, nietylko zdobyczy wojennej, lecz
także innego majątku ruchomego, który na-
leżał do państw poprzednio władzę państwo-
wą, lub okupacyjną na tym terenie wykonu-
jących, lub też nawet przez osoby cywilne
nieznanym miejscu pobytu porzucony, a to
wedle wskazówek danej instytucji“.

b) „Ubezpieczenie tego ruchomego majątku
od ognia i włamania, o ile odnośnie towarzy-
stwa umowę asekuracyjną zawrze zechcą“.

c) „Strzeżenie tego majątku w sposób
zwyczajny strażą cywilną, lub dodaną ewent.
strażą wojskową“.

d) „Z chwilą załadowania ruchomości do
ewakuacji przeznaczonych, do wagonów ko-
lejowych i oddania ich na stacji załadowczej
zarządowi kolei, lub odpowiednim władzom,
wszelkie ryzyko co do tego towaru przechodzi
na daną instytucję“.

Par. 2. „Wszelkie wymienione w ustępie
1-szym świadczenia zobowiązana jest spółka
wykonać przy pomocy własnych ludzi
i środków“.

Par. 3 i 4. „Jak dotąd zdawałoby się
wszystko jest w porządku obowiązki włożone
na ową „Spółkę“ są duże niby — nie niezna-
czące — mówią o obowiązku utworzenia przez
„Spółkę“ biura centralnego w Warszawie i fil-
jalnego w danej miejscowości treści zasadni-
czej danej umowy nie zmieniają — natomiast
odwlekają uwagę od najważniejszego paragra-
fu VI i następującego VII, paragraf bowiem
VI opiewa: „Należytości i wynagrodzenia
„Spółki“ za powyższe czynności oznacza się
następująco:

a) „Wszelkie wydatki gotówkowe z wyko-
naniem nałożonych niniejszą umową „Spółce“
czynności i prac, jak: zsegregowanie, inwen-
taryzacja, zamagazynowanie, przewiezienie etc.
w szczególności także płace zawiadow-
ców, urzędników, personelu biurowego, robo-
cizny, furmanek, asekuracji z wyjątkiem kosztów
centralnego biura (?) w Warszawie, kosztów
kapitału obrotowego podatków i innych
centralnych wydatków pokrywa dana in-
stytucja X. Y. na podstawie ksiąg handlo-
wych spółki i przedłożonych kwitów“ (?) i t. d.“

„Wydatki powyższe zwrócone zostaną
„Spółce“ najdalej do dni 30, a po upływie te-
go czas okresu „Spółka“ zaliczyć może 5 proc.
od setki od niezapłaconych zapadłych kwot“.

„Poczynione w porozumieniu ze stałą ko-
misją wydatki nie mogą być co do ich
konieczności i celowości i po raz
wtóry badane i aprobaty ich przez komisję
jest dla danej instytucji X. Y. wiążącą.“

b) „Pozatem tytułem prowizji pobierać będzie „Spółka“ po 200 M. od każdego załadowanego wagonu“. Par. 1 punkta oraz par. 2 obowiązuje ową „Spółkę“ wykonywać te czynności przy pomocy „własnych ludzi i środków“, zaś par. 6, punkt a opiewa, że koszta tych wszystkich czynności „pokrywa dana instytucja X. Y.“?

Jeżeli wziąć pod uwagę, że aby wywieźć majątek ruchomy potrzeba będzie około 50—60 tysięcy wagonów, to owa „Spółka“ ewentualnie otrzymałaby 10 do 12 milionów M. Powstaje mimo woli pytanie, za co właściwie? Jeżeli za te wszystkie czynności wyszczególnione w par. 1-ym, które niby na papierze obowiązują ową „Spółkę“ i powtórzone ponownie w par. VI, ale jako obowiązujące już do pokrycia ich przez daną instytucję X. Y., która nawet z zaakcentowaniem przez słowo „w szczególności“ płaci za utrzymanie zarządców, urzędników, personelu biurowego, robocizny, furmanek, asekuracji i t. p., a więc wówczas, kiedy skarb wszystkie bez wyjątku ponosi wydatki, to za co owa ex abrupto utworzona „Spółka“ ma ewentualnie otrzymać ze skarbu polskiego, aż tyle milionów? Chyba dlatego, aby ulżyć przeciążonemu zbytnio gotówką skarbowi naszemu i aby zbędne kapitały państwa umieścić w odpowiednich rękach?

Edward Krzemiński.

D. N.

Z Poezji żołnierskich.

—o—

Wspomnienie sierżanta E. O.

Pod Gravelotte nad rzeką,
(gdzie dzisiaj grobla jest),
z piechoty pułkiem szóstym
braliśmy wspólnie chrzest.
Sam kronprync tam przed nami
z korpusem całym stał
i pluł w nas ze stu haubic
i z dwustu ciężkich dział.

Od tego ogniem plucia
aż trząśł się w sobie świat,
bił granat za granatem,
lej ryjąc tam, gdzie padł,
a ludzi wciąż kaszając
i tak na sztuki drąc,
że już nie lekarz nawet
biegł ku nim, tylko ksiądz.

Z bagnietem w krzepkich rękach
staliśmy w krwi po pas,
płytki nas jeno strumień
od pruskich dzielił mas.
Broniliśmy przeprawy,
bo taki rozkaz był,—
ordynans rzucił krótko:
„Dziecił Ni kroku w tył!“—

Wiedziano jednak w pułkach,
(dziś nie wiem nawet skąd),
że wróg nam w bok pchnął jazdę

i miazdzył i giał front.
Mieliśmy tedy sobą
kryć obwrót brygad dwóch,
które generał Steinmetz
na szosie rozbił w puch.

Więc choć nasz piechur widział,
że bije się bez szans,
walił się z nóg radosny
ze szeptem:—Pour la France!—
Dwanaście całych godzin
żelazem wróg w nas pluł,
brzęczało to naokół,
jak rój natrętnych pszczoł.

Rzedł, niczem śnieg na wiosnę
w tym ogniu zastęp nasz,
karabin palił dłonie,
dym oczy gryzł, piekł w twarz.
Już ino garść się jeszcze
broni na którejś z kęp
i pada w raz z chorążym
sztabu krwawy strzęp— — —

Dziś, wdzięczny kraj, na grobli
pośród nadrzecznych trzciny,
głaz dzwignął wiernym synom,
za ich ofiarny czyn.
i złotym lwem uwieńczył
kolumny ciężkiej szczyt, —
a napis: — „Bohaterom!“ —
z kamiennych patrzy płyt —

Z A M I A S T K R O N I K I.

Poznanie Poznania.

—o—

Wysoka jeneralicja polska ma obecnie trzech wielkich Józefów. Jednego, który uosabia w sobie najszlachetniej instynkt państwowy i sumienie socjalne; drugiego, który wybiła się dzięki niespospolitej dynamice swej energii i dzięki niesłychanemu, wprost dziwnemu szczęściu, jakie mu towarzyszy: wreszcie trzeciego, który reprezentuje najgodniej swój fach, jest urodzonym generalisimumem, wodzem, strategiem i organizatorem z krwi i kości a dla tych względów mężem przyszłości, jedynym mężem polskiej przyszłości.

Wziewani przez tego trzeciego, przez jenerała Dowbora-Muśnickiego na uroczystości Trzeciego Maja do Poznania przeżyliśmy tam trzy dni błogosławione, niezatarte w pamięci do grobowej deski, trzy dni, które nas na nowo postawiły na mocne nogi, dodały ochoty, otuchy i bodźca do życia i walki i napełniły znów wiarą w pełne zwycięstwo finalne jasnych, narodowych ideałów.

Poznań znało się oddawna. Jeździło się doń co rok, co dwa lata jeszcze wtedy, kiedy pewne kategorie literatów polskich znały

tylko jedną jedyną marszrutę wojażów t. j. przez Szwajcarję do Paryża, kiedy inni literaci tęsknili do ojczyzny w rymach chodząc tylko Dreznach i Rzymach, jeszcze inni podróżowali nawet do Jakutów lub pielgrzymowali po Jerozolimach, ale o poznaniu się z Poznaniem nie pomyśleli nawet przelotnie. Nietylko się gród Przemysławów znało, ale go się i opisało. Opisało w barwach nieco ciemnych, smołowych i pesymistycznych, co swego czasu wywołało burzę w zaścianku i gromy atramentalnego oburzenia na szkalownika z warszawskiej Lutecji. W czas wojny europejskiej można się było przekonać, że wady, mankamenta i ciemne strony życia dzielnic wielkopolskiej są znikomą drobnostką w zestawieniu z świetną postawą polityczną ogółu Wielkopolan i że skutkiem tego jednostronny pogląd na tę dzielnicę należy coprędzej poddać radykalnej rewizji i korekcie. Teraz wierzy się najniezłomniej, że dla całej Polski lux może przyjść tylko ex Occidente, że choć ziemia litewska wydaje najpiękniejsze postacie wajdelotów literatury i kunigasów rewolucyjnych, to jednakże materiału ludzkiego bezwzględnie poważnego, nietylko improwizowanego i dyletanckiego do budowania państwa polskiego dostarczyć

musi w pierwszym rzędzie ziemia Ostrorogów, Staszyców i Gołuchowskich. Innymi słowami mówiąc, uchYLENIE choćby względne tak zwanego separatyzmu poznańskiego (dziś tak wrzaskliwie obszczekiwanego dokoła) możnaby tylko wtedy doradzać, gdyby się miało gwarancję, że Wielkopolanie wyrażając się plastycznie wezmą bezwzględnie i bez karesów za łeb rząd warszawski i narzucają całej Polsce swoje metody i swój system rządzenia. Jest w tem może cokolwiek przesady, ale w tej przesadzie jest absolutnie duży procent prawdy. Natychmiastowe zaś zjednoczenie pure et simple Wielkopolski z resztą Polski obecnej (Maj 1919), jakiego domaga się tocząca krwawą pianę z pyska warszawska Levyca uważałbym w obecnych warunkach i przy obecnej konfiguracji za coś najfatalniejszego, najlekomyślniejszego, a z punktu widzenia ogólnonarodowego nawet zbrodniczego. Jest w tem może cokolwiek przesady ale w tej przesadzie kryje się naga prawda.

Leżą przedemną dwa interesujące artykuły gazeciarskie: jeden z „Vossische Zeitung“ z r. 1917 dr. Hansa Ehrenberga, privatdocenta [an der Universität Heidelberg; drugi p. Kazimierza Brenberga z „Kurjera

Porannego" z 6 Maja r. 1919. Obaj są bardzo niezadowoleni z polityków poznańskich. Obaj pienią się na wielkopolskie pfaffenherrschaft, papizmus, eksklusivismus, chauvinismus etc. Ale podczas, gdy Heidelberski docent ma bardzo wiele świątliwych słów uznania i respektu dla stalowej energii tych patryjotycznych księży wielkopolskich, warszawski Teodor Wolff, który za wiele lat zakrytywał się na śmierć w Hardenie zanim odkrył w gazetach Anglję i stał się patentowanym koneserem Timesa i jakimś heroicznym unus defensor Britanniae napada w polskim „Matinie“ na duchowieństwo wielkopolskie w sposób zgoła pużakowski a co więcej decyduje się nawet tknąć swym piórem (które tyle lat poświęciło spódniczkom i pończoszkom drobnych aktorczek) ośmiela się tknąć sutanny księdza Adamskiego. Heidelberski Erenberg był w Poznaniu i poznał tamtejsze stosunki ex autopsja; warszawski sobie tego trudu nie zadał nigdy, jak zresztą nie zadał sobie też trudu poznania jakiegokolwiek miasta zachodnio-europejskiego, co niestety mocno daje się odczuwać po parafjanskim sosie, jakim zalewa swoje olbrzymie i germańskim żołądkom chyba strawne, wstępne rozbratle polityczne. Taka wulgarna napaść p. Erenberga może spodobać się Levycey warszawskiej i zyskać znów z powrotem dla pisma anonse obwieszczające Warszawie, że Hanka Polikier zaręczyła się z Salo Likiernikiem, ale w czytelniku uświadomionym, znającym linję żywota napadającego, a napadanych wzbudzi niewątpliwie odrazę i obrzydzenie. Ogromnym bowiem jest dystans między etyką wielu stołecznych znakomitości a zasługami narodowymi i socjalnymi księży wielkopolskich. Klecha wielkopolski to bohater panie Erenberg!

To taki sam bohater jak Belina, jak Rydz Śmigły, jak Lis-Kula t. j. ci wszyscy których pan Erenberg jeszcze pół roku temu bezlitośnie wyszydział, a których teraz bezgranicznie opiewa żywiąc w swej groteskowej próżności drogą illuzję („care Illuzioni“ Leopardi) że w ten manier zyskuje sobie Belweder, wpływa na Belweder, kieruje Belwederem, steruje Polską... Księża wielkopolscy to bohaterska species, to nie to co warszawscy Przezdzieccy, Iwowsy Bilczewscy, wiedeńscy Bandurscy lub nawet pomyleni megalomani a la Oraczewski. Około 40 księży wielkopolskich siedzi dziś w pruskich więzieniach, kilku rozstrzelano, kilkunastu plwano, bito po twarzach, kopano. Księżom poznańskim zawdzięcza ta dzielnica swój ratunek, swoją tężyznę, swoją moc, charakter, swoją najdosłowniejszą, najnieefekowniejszą ale najautentyczniejszą demokrację no a przede wszystkim uczciwość, uczciwość i jeszcze raz uczciwość. I to nie tylko w ostatnich latach, ale już w całym ostatnim pokoleniu. Podczas, kiedy my znakomitości warszawskie trawiliśmy dużo czasu za kulisami, różniliśmy całymi nocami w bridża, wypijali całe balje szampa, podczas, kiedy niektórzy z nas czy to w kraju czy na emigracji zapominali płacić długi karciane i zastawiali w lombardach swoje i nieswoje... ci księża poznańscy, socjaliści w każdym calu ale i chrześcijanie w każdym calu szli w lud, z ludem, dla ludu. z zaparciem się siebie, z mozołem niestrudzonym, z systematycznością codzienną lata całe! Skąd to

więc nam, sybarytom. burżujom, dekadentom i degeneratom uczęć patryjotyzmu polskiego wielkopolskich księży! Przecież niektórzy z nas pozał się Boże frafernizujacy z czynownikami rosyjskimi, gdy tylko pierwsze pruskie armaty zagrzmiały nad Warszawą zmywali na Pragę jak się patrzy, by stąd w czynowniczym pociągu jechać na „emigrację“, podczas kiedy te wielkopolskie klechy wciąż trwały na swych stanowiskach i wartach. Trzeba nam się na starość stanowczo nauczyć moresu przed wielkopolskimi klechami panie Erenberg, kiedy nawet heidelberscy docenci piszą o nich z uznaniem i szacunkiem choć także z źle tajoną liberalną freimaurerską nienawiścią.

Trzeba nam na starość poddać rewizji nasze podtrzymywane dawniej duchową strawą T. Wolffa i Hardeny poglądy na calotę wielkopolską, gdy się zważy że ta tylko dzielnica była dla dwóch innych dzielnic betonową podstawą antygermańskiej orientacji a w tej dzielnicy tylko ci właśnie drobni wikarzy, proboszcze, patroni podtrzymywali najżarliwiej ducha polskiego, podsycali znic patryjotyzmu, nie zaś rozmaite liberalne antyklerykalne podstępowe kulturkempnery, Feldmany, Wassercugi, Waserbergi i t. p. Askenazim.

Stanowczo zaś już nie wypada się czepiać takiego człowieka jak ksiądz patron Adamski, gdy się niema najminimalniejszego pojęcia, co ten ksiądz działał i jaką rolę obecnie odgrywa w Wielkopolsce. Posłowie sejmowi i dziennikarze warszawscy, którzy odbyli wycieczkę poznańską mieli szczęśliwą sposobność przekonać się fundamentalnie o wartości i walorach tego członka komisariatu poznańskiego 4 maja w głównej sali obradowej dawniej Komisji Kolonizacyjnej dziś zwanej Polonizacyjną. Ksiądz Adamski w długiej dwugodzinnej przemowie opowiedział nam pokrótce historję wyzwolenia się Wielkopolski, organizowania jej władz, całą metodykę rządzenia, obecnie zasady jej administrowania, przyczem często natrącał stosunek do rządu centralnego. Było to expose ze względu na audytorjum trzymane w tonie przystępnym i prostym, ale był to przytem majstersztyk logiki, rozsądku, siły argumentacji i zdolności przekonywania. Ksiądz Adamski wyłomaczył nam wszystko najdokładniej, usprawiedliwił najrzetelniej tak zwane „separatystyczne“ stanowisko Księstwa i przekonał niezbitcie, że zejście z tego stanowiska obecnego rządu poznańskiego byłoby Istotną klęską nie tylko dla ludności mlejskowej, ale dla interesów całej Polski. Wiedzieliśmy to oddawna dokładnie i niczego tak nie baliśmy się, jak otwarcia szerokich wrót Wielkopolski dla wszelkiego rodzaju hochstaaplerów politycznych i włamywaczy ideowych z Krakowa i Warszawy. Ksiądz Adamski posłów sejmowych przekonał, ale nie mógł przekonać nieobecnej warszawskiej Levy-cy, która ustami swych tytanów publicystycznych pp.; Erenberga, Perla, Hołowki i Hirschhorna, domaga się, gwałtownie zjednoczenia natychmiastowego Księstwa z Królestwem, to znaczy natychmiastowego poddania Księstwa pod władzę pyskaczy partyjnych i paskarzy parszawskich. Levyca ta obecnie zdaje się zdecydowała się nie spocząć, aż swego dopnie i zjednoczy całą Polskę w ten sposób, że do Poznania będzie już mógł bez meldowania się w Skalmierzycach wyjeżdżać swobodnie i stary Margulies

ojciec, który wykupi odrazu wszystkie zapasy jęczmienia, świec czy szczotek, a z nim równocześnie i młody Margulies, który odrazu zorganizuje strejk służby szpitalnej i przerwany pochód z krasną faną. Pilnujcie się zatem Wielkopolanie bo! szturm do Was idzie. Nie dajcie się zwieść Syrenim głosom tych dziś namiętnych zjednoczeńców, którzy właśnie Was dwa lata temu z lekkim sercem oddawali na strawienie Molochowi germańskiemu. Nie wpuszczajcie do! waszych starannie utrzymanych zagród parszywych owiec i zarażonych nosacizną Leninowską żrebaków. Niech w wasze schludne i czyste ogródki nie wtargną po wylamanym płocie w wielkim stadzie świni wielkowiejskie by, zdeptać, zniszczyć i zburzyć wszystko coście przez! lata najmozołniejszej najustawicniejszej pracy wybudowali tak pięknie. Nie dajcie się Wielkopolanie zasugestjować ani steroryzować argumentem pozornie nawet bardzo patryjotycznie brzmiącym. Baccie dokładnie skąd te głosy syrenie idą i zważcie, że w dniu, w którym poraz pierwszy pozwolicie Daszyńskiemu czy Hołowce czy Innemu czerwonemu kogutowi zapaść z estrady na wiecu publicznym w Poznaniu, żydostwo międzynarodowe zdobyło ostatnią twierdzę, ostatni bastjon we Wschodniej Europie. Zjednoczoną wówczas okaże się nie Polska, ale zjednoczonym żydostwo -rosyjskie z żydostwem pruskim.

Rewia na Ławicy.

—o—

Pociąg wiozący do Poznania warszawskich gości z Sejmu i prasy szedł na przestrzeni Królestwa niżej krytyki, zatrzymywał się tam gdzie nie potrzeba, gdzie trzeba tam pędził, wreszcie raz zapaliła się gdzieś oś a raz! zepsuła lokomotywa, jednym słowem pociąg ten szedł po moraczewsku; dopiero od Skalbmierzyc jechało się po zachodnio i po centralno-europejsku. Skutkiem tego spóźniliśmy się o dobre 2 i pół godziny. Wielkopolanie zaś są punktualni. W Poznaniu rzecz zdumiewająca, wszystkie zegary na wszystkich wieżach i po wszystkich ulicach wskazują tę samą godzinę. Jest to szablon i reakcja, ale ma swój urok. Skutkiem opóźnienia nie byliśmy już świadkami mszy polowej, która odbywała się na jednym z największych terenów aeronautycznych w Europie. Ale byliśmy świadkami rewii wojskowej w najlepszym stylu. Pogoda trzeciego maja dopisała. Dokoła placu stutysięczny tłum strojny, czysty, gwarny, karny, tworzący olbrzymi prostokąt. Defilował garnizon poznański, który, jeśli sprawy polskie dobrze pójdą, będzie wzorem i modelem normalnego wojska, tak jak to pojmują Europejczycy. Nie jest to jakaś specjalna armja Dowborowa „monarchiczna“, jak próbuje straszyć Warszawę p. Erenberg, ale jest to armja doborowa. Częstka jej wysłana pod Lwów uratowała tam sytuację, całość jej, jak dobrze pójdzie, uratuje sytuację w całej Polsce. Kierownictwo rewii spoczywało w rękach generała Du-

biskiego. W pełnym blasku słonecznym defilowały kolejno: 3 pułk piechoty pod pułk. Szyllingiem, 10 pułk piechoty pod kapitanem Kopą, 1 pułk ułanów pod Andersem, 11 pułk ułanów pod Mosiewiczem, artylerja ciężka pod pułkownikiem Kędzierskim, 2-gi bataljon saperów, oddział telegrafistów pod Miączyńskim; cała pełna dywizja. Inspektorem artylerji jest pułkownik Sczaniecki, szefem brygady ułańskiej pułk. Pajewski. Nazwiska te trzeba sobie zapamiętać z tych względów, że wcześniej czy później odegrają one chyba pewną i ważną rolę w tworzeniu się solidnej państwowości polskiej. Następnie zaś z tej racji, że w prasie warszawskiej w nieprzyzwoicie jednostronny sposób reklamuje się w niebogłosy wciąż tylko jedną część armji polskiej, która umiała dla siebie zmobilizować cały regiment literatów galicyjskich, obrotnych żydków poprzebieranych w mundury i uderzających co chwilę w tamtam reklamy dla „swoich“ jenerałów, swojej brygady „stalowej“ „nieśmiertelnej“, „nie zwyciężonej“ i t. p. Ostatnio z okazji zajęcia Wilna, do którego to efektownego, a nie najeżonego znów tak gigantrycznymi trudnościami (jak to profanum vulgus przypuszcza) posunięcia militarnego dopuszczono tylko „familję“ i faworytów, usłużne literaty w mundurach, kształcone na niemieckich korespondencjach z placów bojów przeszły istotnie samych siebie; czytając te tasłemcowe elukubracje widzi się dopiero jakimi dyletantami są Petain i Pershing.....

Rewji garnizonu poznańskiego na Ławicy pod Poznaniem przypatrywała się jeneralicja z misji koalicyjnej, zgrupowana koło jenerała Dowbora, jenerałowice Spire, Marechal, Marquier i inni, attacheś wojskowi włoscy, angielscy, amerykańscy. Kiedy przysła kolej na ułanów Pajewskiego, kiedy po świeżej zieleni dudniąc przebiegała cwałem, falanga za falangą, furkocąc tylko chorągiewkami u lanc i lyszcząc w słońcu srebrem kopyt końskich, zachwyty malował się na twarzach tych wysłanników zwycięskich nacji. Dali temu zachwyty pełny wyraz w mowach i toastach, jakie wygłaszali na uccie w Bazarze. I w prywatnych rozmowach nie mogli się dość nachwalić tego świetnego wojska, przez fachowców, nie przez amatorów organizowanego. A nie jest to wojsko tylko od parady i defilady. Broni Księstwa na froncie, rozciągającym się na przestrzeni 600 kilometrów i mimo pozornego zawieszenia broni codzien stacza z prusakami krwawe potyczki. Byliśmy świadkami, jak na drugi dzień po rewji odchodziła na front artylerja pod kapitanem Hauke-Bossakiem i ludność miejska żegnała ją kwiatami, okrzykami i łzami. I przy tej sposobności można się było naocznie przekonać, jak kochają swego naczelnego wodza, jak wpatrzeni w niego jak w słońce, jak wierzą weń, jak mu ufają. Niema

dziś w żadnej armji polskiej kometanta tak kochanego przez swych żołnierzy jak dzielny Dowbór. Ale bo też niema wodza któryby tak odgadł tajemnicę psychiki żołnierskiej jak on. Taki był prawdopodobnie stosunek Piłsudskiego do swoich chłopaków „dłubnosków“ w pierwszych latach wojny, kiedy go jeszcze nazywano „dziadkiem“. W Piłsudskim atoli nie mogli żołnierze jego podziwiać fachowości, umiejętności, znajomości rzemiosła wojennego, które jest jak wiadomo dzisiaj dość skomplikowaną wiedzą i sztuką. W Dowborze zaś najwzyczajniejszy nawet szeregowiec musi odczuć i wielbić nie tylko dobrego „dziadka“ ale i wielkiego majstra, bo widzi naocznie jak ta maszyna wojskowa przez niego konstruowana doskonale działa i normalnie funkcjonuje, jak jest wojskiem z prawdziwego zdarzenia, podobnym bliźniaczo do najlepszych wojsk europejskich.

Przez cały czas pobytu w Poznaniu mieliśmy sposobność przekonać się, jak popularną postacią jest jenerał Dowbór w społeczeństwie wielkopolskiem i jak umiłowany, ukochany wodzem w swym wojsku. Oczy im się śmieją, twarze rozpozdają, gdy on idzie swym mocnym krokiem dobrego olbrzyma, gdy wsiada na koń, gdy cwałuje z młodzieńczą werwą i fantazją. Osobiście zaś jest to człowiek istotnie chwytający za serce. Prostý, szczery, pogodny, dobroduszny, mens sana in sano corpore, ale zdający już sobie doskonale sprawę z ogólnej sytuacji i świadomy zdaje się tej roli, jaka jemu w dalszym biegu zdarzeń przypadnie i przypaść powinna. W rozmowie z tym doskonałym jenerałem dawnej rosyjskiej armji wnet nabiera się przekonania, że on dawniej o swej Polsce niewiele wiedział, że on jej tak nie przemyślał i nie przeczuł jak Piłsudski, ale że teraz chce to wszystko tembardziej nadrobić, expiować i wszystkie swe siły, całą wiedzę, całą energję zdrowego w sile wieku mężczyzny oddać z zaparciem się siebie bez reszty tej Ojczyźnie. Kiedy zaczyna mówić o tem, kiedy dobiera słów, aby uczucia swoje jasno i rzetelnie wyrazić głośmu drży cokolwiek i wzruszenie go pęta. Ale zawsze patrzy rzetelnie prosto w oczy, jeno się nieco rumieni i wtedy jest najsympatyczniejszy, najbardziej chwytający za serce, najbardziej polski. I Dowbór jest demokratyczniejszy. W zetknięciu z polskiem chłopstwem, chłop czuje się wobec niego ufniejszy i swobodniejszy a jenerał nie potrzebuje się aż łaskawie zniżać, aby z chłopem jak z równym rozmawiać, nie dzieli go bowiem od tego chłopca przepaść doktryny i przeszłość marxizmu.

Jeżeli teraz wziąć stosunek jenerała Dowbora do rządu warszawskiego, to mylnie sądzą ci co myślą, że ostatecznie zmuszą tego predystynowanego generalissimusa polskiego do poddania się do dyspozycji dzisiejszego naczelnego

dowództwa. Nie trzeba zapominać, że jenerał Dowbor w wojnie europejskiej ma swoje nazwisko i autorytet w wojskowych sferach ententy i że dokonał w swej karierze może mniej pięknych i symbolicznych czynów jak przejście do Kielc lub tym podobne, ale że w każdym razie kierował operacjami militarnymi serjo, nie zaś partyzanckimi eskapadami bardzo malowniczymi a czasem nawet heroicznymi ale ostatecznie efektywnie drobnie nikłymi i przez historję europejskiej wojny jakoś nie notowanymi.

Przepróście go więc za inspirowanie kampanji w plugawy sposób przeprowadzonej przeciw niemu przez waszą prasę, przepróście go za ten nikczemny „pud złota“, jakim na niego rzucał kamerad Hołówko, za to całoroczne nieczne intrygowanie przeciw niemu, za zwalenie na jego barki odpowiedzialności, którą w całości ponosi Kameleon Kakowski i pajazzo Lubomirski a przeprosiwszy go lojalnie i uczciwie, oddajcie mu jako jedynemu pośród was fachowcowi na większą skalę naczelną dowództwo nad armją polską. Wtedy jeżeli go Wielkopoleanie wypuszczą, to przyjedzie. Ale żeby po tych wszystkich afrontach i szykanach, które jeszcze nadal trwają (odmawianie mu oficerów) miał maszerować we włosienicy do Canossy w Alejach Ujazdowskich w to się wątpi, bo to byłoby niegodne i nieżołnierskie.

Z drugiej atoji strony trzeba jednakże dodać tu, że również mylną i pod względem narodowego interesu w najwyższym stopniu szkodliwą taktykę obrali ci, którzy pracują z mozołem nad kopaniem przepaści między Dowborem a Ginetem, między marszałkiem poznańskim a Mindowem litewskim, którzy judzą i wygrywają jednego przeciw drugiemu i szkalują jednego przed drugim. Nie tędy droga do wielkiej potężnej Polski! Naczelnik Państwa, który tylokrotnie już wykazał nie tylko trafny wybór drogi do jedynego celu, nie tylko genialną intuicję w doborze środków i ludzi ale i całe pokłady dobrej woli narodowej, ponadpartyjnej i pozaosobistej odczuwa już chyba oddawna fatalne braki w centralizacji wojskowości. Sterowanie i nawą państwa i naczelną kierownictwo armją jest to za dużo na barki jednego człowieka. Naczelnik Państwa wie, że tasama prasa i tasame koła, które jego najsilniej popierały miały czelność i swobodę bezceremonialnego i bezkarnego szkalowania godnego najwyższej czci i szacunku jenerała Dowbora Muśnickiego. Jakaś tedy satysfakcja organizatorowi świetnej armji poznańskiej się należy. Nie trzeba z tem zwlekać. Jeżeli nie chcecie, aby dopiero francuscy instruktorzy musieli wziąć wszystko w swoje ręce i położyć kres tym rozłomom i nieporządkom, to jednajcie się i godźcie ze sobą i pracujcie nad stworzeniem wielkiej armji spolem i harmonijnie. Dlatego też nie powin-

no się zbyt silnie czepiać szarego płaszcza dzielnego generała Dowbora rozmaite atawistyczne jakby z saskich czasów jeszcze pozostałe warcholstwo, które krygując się, dworując i kadząc gardzącemu wszelkiem pochlebstwem żołnierzowi jak ongiś banda albańska księżu Panie Kochanku, równocześnie judzi go na „stolnika z Warszawy”. Należy nam publicystom pracować nad zbliżeniem do siebie ludzi godnych szlachetnych i powołanych do rządzenia, nie zaś ich oddalaniem od siebie.

Należy nam domagać się pełnym głosem aby najświetniejszy polski fachowiec wojskowy, niemający tylko tego przypadkowego szczęścia co generał Haller, ale tą samą odwagą bojową słynny zajął swoje należne mu miejsce nie wbrew Piłsudskiemu ale obok Piłsudskiego. Jeżeli tak szybko i bez restrykcji zapomniało społeczeństwo i przebaczyło generałowi Hallerowi przysięgę Beseleroską, wdzięczne mu tylko bezgranicznie za pomoc generałom francuskim w organizacji armji emigracyjnej i amerykańskiej, to czas już najwyższy zapomnieć o kapitulacji bobrujskiej, nakazanej przez trzy kaleki z Rady Regencyjnej. Niema sensu aby tacy ludzie jak Dmowski lub Dowbor trzymani byli kunsztownie jak najdalej od Warszawy, tylko dlatego, że to jest na rękę międzynarodowemu żydostwu i mało—polakom. Cieszymy się niezmiernie z tego, że generał Dowbor w przeciągu kilku miesięcy zdołał zorganizować Wielkopolskę 70-tysięczną wzorową, przepyszną, doborową, normalną europejską armję, ale marzylibyśmy o tem, aby jego mocna żyłasta, żołnierska ręka zaciążyła nieco i w Warszawie. Nadzieję, że się to wnet stanie nie tracimy i choćby wbrew woli zacnego generała (szczęśliwego tylko wśród swych Wielkopolan) w tym kierunku publicystycznie działać będziemy.

Raut na zamku Wilhelma II.

—o—

Galowe przedstawienie w teatrze Polskim w Poznaniu w dzień 3 Maja i ku uczczeniu posłów sejmowych urządzone było czemś niewysłowienie nieładnem. Orkiestra zagrała hymn narodów koalicyjnych jak w Pacanowie. Chór wyjątkowo nieestetycznie się prezentujący (czarne pończochy włóczkowe, białe sukienki), śpiewał jakąś narodową rapsodję na miejscu ad hoc skomponowaną, długą, głuchą i niemożliwą. Poczem jakieś melodeklamacje, jakieś żywe obrazowania, jakieś fragmenty sceniczne, grane niżej wszelkiej krytyki w dekoracjach i barwach jarmarcznych. Gdyby nie świetna prelekcja prof. Grabowskiego wypowiedziana na tle jakiegoś rażąco napacykowanego płótniska miałoby się wrażenie, że to wieczór w Rypinie lub w Leżajsku a nie w stolicy dzielnicy czteromiljonowej. To nie było godne grodu Libelta

i Cieszkowskiego, Raczyńskich i Mielżyńskich. Pod tym względem stanowczo konieczne są w Poznaniu reformy gruntowne i jak najdalej idące. Teatr jest w zupełnym upadku, sztuki piastyczne w poniżeniu, literatury niema ani w aptekach na lekarstwo, prasa szara, zdrowa ale jałowa, bez wyrazu, bez temperamentu, bez dynamiki, Pod tym względem od lat 15, kiedyśmy na Poznańskie nieco wsiedli nietylko nie się nie zmieniło ale się ku gorszemu nieco pochyliło. Tak być teraz może i być nie powinno. Wiercie Panowie Rada Poznańska pisarzowi, który przez całe lata wojny nie miał dość słów pochwały i wdzięczności dla waszego wspaniałego, śpiżowego stanowiska politycznego. Poznań musi i pod względem kulturalnym odrodzić się i nawiązać do swoich szczytnych a nie tak dawnych tradycji t. j. do dziesięciolecia 1840. O ile wiemy wszystko jest już na dobrej drodze. Sztuka dramatyczna dostaje nowy wspaniały gmach teatralny a dyrektor Ludwik Solski jest tym, który potrafi tenąć w ten gmach polskiego ducha, nie karmiąc was zbyt samą ambrozją poetyką ale stosując się do warunków lokalnych i zwolna podnosząc poziom smaku i gustu, dziś bardzo niżej stojący. Równie ważnem ale nie ważniejszem jest otwarcie uniwersytetu, które już szczęśliwie nastąpiło. Organizatorowie poznańskiej wszechszkoły zdołali pozyskać tak doskonałe sily jak prof. Grabowskiego i Krygowskiego ze Lwowa; ale dlaczego katedrę romanistyki powierzono tak zaciekłemu germanofilowi jak młody p. Wędkiewicz, który w Sztokholmie jako agent kilkoletni N. K. N. krakowskiego działał najszkodliwiej dla sprawy polskiej? W każdym razie mamy niewstrząśniętą nadzieję, że Uniwersytet, którego Collegium Maius mieścić się będzie w skrzydle Zamku cesarskiego zwolna podniesie poziom kulturalny i wytworzy bądź co bądź atmosferę intelektualną, której brak absolutny chyba wszystkim dotkliwie odczuwać się daje.

Muzea i biblioteki Poznań ma całkiem znośne. Towarzystwo Naukowe prawdopodobnie zacznie też żyć w mocniejszym i żywszym rytmie. Czego atoli brak bardzo grodowi Przemysławów to jakiejś uczelni malarskiej funduszami krajowymi subwencjonowanej. Radzilibyśmy wyższą szkołę sztuki stosowanej na wzór monachijskiej a z pomocą sil krakowskich. Koniecznem jest stworzenie w Poznaniu ogniska i środowiska artystycznej kultury, z pomocą którego powoli możnaby z miasta zcierać ten pokost pruski, który je w niektórych dzielnicach tak upodabnia do Charlottenburga czy do Chemnitz. Jakaś zaś specjalna komisja architektoniczna z dobranymi ekspertami z Krakowa, Warszawy, Lwowa mogłaby się zająć wykombinowaniem fortelu (kunstgriffu) w jakiby można bez materialnych strat oczywiście kasować z gmachów i domów zbyt berlińskich te cechy ich charakterystyczne a obecne i nadające niektórym dzielnicom Poznania fizjognomję od-

stręczająco-imponującą. Trzeba jednakże przyznać, że dzięki wściekłości i megalomanji teutońskiej z ostatnich lat dziesięciu Poznań zyskał dość tanim kosztem kilka gmachów monumentalnych, w samą porę zbudowanych z doskonałego, wytrwałego materiału, których mankamenta estetyczne dadzą się skorygować ale skorygowanymi być winny. Do takich należy przedewszystkiem kastel biednego Wilszelmy.

W tym to kastelu znaleźliśmy się na raucie dnia 3 Maja i w efektownej bizantyjskiej kaplicy tego kastelu miała miejsce niezapomniana scena. Kiedy oprowadzani przez miłych gospodarzy po prywatnych, potwornie zimnych, czysto muzealnych apartamentach oszalałego imperatora, znaleźliśmy się w tej kaplicy, jakgdyby skamieniałej dekoracji do II aktu Parsivala, jeden z posłów rzucił myśl odśpiewania chóralnego rotę Konopnickiej i Nowowiejskiego. I pod złote stropy dworskiej bazyliki popłynęła grzmiąca i groźna melodia: „Nie damy ziemi gdzie nasz lud”. Śpiewaliśmy wszyscy z najgłębszej piersi, z ogniem i z pełną moralną satysfakcją. Śpiewał godny, poważny Bojko, śpiewał sprytny Witos, Wasilewski, Niemojewski, Grabowski, prof. Dubanowicz, śpiewali księża, chłopci, Thuguttery, górale, literaci, dziennikarze, śpiewał nawet cienki prof. poseł Kamiński, tensam, który jeszcze rok temu śpiewał grubo na całkiem innej nutę... A u progów kaplicy stali w długich czarnych surdutach pozostawieni jeszcze na służbie burgrabowie cesarscy, milczący, bledzi, zamyśleni. Sic transit gloria Caliguli lieber Schulze...

Kopiec Maltański.

—o—

Pogoda najpiękniejsza. Ein Hohenzollern-Wetter, jak się dawniej mawiało w Poznaniu, gdy słońce zajaśniało w dzień urodzin prosto z Potsdamu. Na plaen Wolności mrowie i głowa przy głowie. We wszystkich oknach biało i czerwono, ze wszystkich balkonów zwieszające się sztandary narodowe. emblematy, orły, herby. Jest oodzina 4-ta po południu. Tam, gdzieś daleko... w Monachjum, przy dworcu kolejowym strzelają teraz właśnie pruskie wojska z armat do bawarskich spartakistom... tam gdzieś daleko siedzi przy biurku stary bawoł Hindenburg, (który tu się w Poznaniu urodził) i pisze teraz i koncypuje list do prezydenta Eberta, rzekający się z powodu zgrzybiałości naczelnego dowództwa nową armią... tam gdzieś jeszcze dalej w Marsylii wysiadła i wyładowywa się z okrętów dwa tysiące Niemców, których wypędzono z dalekich Chin... a tam jeszcze indziej w Wersalu spaceruje teraz po parku smętny dragal w żółtym palcie, któremu się marzy o roli Talleyranda: graf von Brockdorf Rantzau.

O „welche Aenderung durch Gottes Fügung“, jak pisał niegdys stary Wilhelm do starej Augusty w tym samym Wersalu w roku 1871...

Rozpoczynamy pochód na Maltę, Idziemy

daleko, daleko za miasto sypać lechicki kopic na cześć wolności. Idziemy przez całe prawie miasto Chwaliszewem, przez Śródkę, Warszawską, Podwałem. Idziemy szpalerem wąskim a po obu stronach zbity gęsty tłum, a we wszystkich oknach głowy i orły, orły i głowy. Na wszystkich twarzach bezgraniczna radość, zadowolenie, pogoda, szczęście. Powiewania chustkami i okrzyki, okrzyki bez końca: niech żyje Sejm, niech żyje Polska! niech żyją posłowie! Przed nami kroczy Sejm, za nami feneralicja, pochód otwiera pięć tysięcy boy-scoutsów i pięć tysięcy girl-scoutsów. Nie myślcie, że te skauty rekrutują się tylko z synków burżuazji, nie, tu w tym dziwnym mieście w szeregi scoutów zapisuje się dziesiątka proletarjacka. Zresztą co tam i za proletarjat, jak to można nazwać proletarjatem, kiedy te najniższe warstwy wydziedziczonych ubrane sohludnie, czyste, obyczajne, mają łokciowy chleb przepyszny za 2 marki, jajko za 15 fenigów, oodzień swoją gazetę, czy w suterenach, czy na poddaszu, a w niedzielę czy święto niczem a niczem się nie różnią od „najplugawszych wampyrów burżuazyjnych“

Pochód trzeciomajowy sunie tak posuwające przystrojonymi ulicami starego Poznania pełnymi domków bliźniaczo-podobnych do tych z Leszna i ze Starego Miasta, sunie pochód w huraganie okrzyków, braw, śpiewów. Tu i owdzie widzisz łzy ciurkiem lecające po twarzy najczęściej poranej zmarszczkami. Tu i owdzie widzisz starszankę siwiuteńką w oknie, nie wierzącą oczom, kurczowo wpatrzoną i starającą się zapamiętać tę wizję 3 Maja, aby mieć ją w oczach przed śmiercią.

Tu i owdzie słyszysz chlapanie beku z rozczulenia lub jak się dwóch niezajomych sobie uczepliło i całują się i ściskają. Dzieciom zachrypniętym z okrzyków już głosu zabrakło. Bo to w tym mieście pierwsza uroczystość 3 Maja od 130 lat, pierwsza wogóle feta narodowa! Nie tylko więc nie są zblazowani, ale szaleją formalnie z radosnego upojenia i wdzięczności dla Losu. Jakbyś słyszał łoskot ogromnych kajdan opadających z murów tego miasta. Jakbyś widział pękającą skorupę germańskiej lawy zimnej i plugawej. Przechodzi pochód 3-majowy Podwałem przez starą bramę przedmiejską kroczy zielenią, wśród drzew i zbliża się wreszcie do zagajnika na Malcie, gdzie dawnymi laty księża wielkopolscy tajemnie uczyli dziesiątkę na wycieczkach zamiejskich, dziejów Polski. I tu odbywa się uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod kopic i wmurowania aktu erekcyjnego. Aktu uroczystego dokonuje arcybiskup Dalbor, dygnitarz duchowny, który nie bardzo piękną rolę odegrał w czasie wojny, zresztą podobną do roli ks. Kakowskiego i ks. Bilczewskiego we Lwowie, a bardzo niepodobną do roli kardynała Mersiera...

Przebaczone mu jak przebaczone warszawskiemu i lwowskiemu a całą winę ks. Dalbora zwałono na jego rzekomych doradców, których w opinii uśmiercono, co jeżeli chodzi o p. Jackowskiego jest niesprawiedliwe, tembardziej że jest to podobno jedna z najcięższych głów w Księżstwie. Staramy się nie widzieć więc arcybiskupa Dalbora a natomiast zapamiętać sobie rysy niezwykle szlachetne i monsigno

roskie ks. kanonika Łukomskiego, projektodawcy kopca wolności i projektodawcy domów robotniczych letnich, wypoczynkowych, które tu w tym lasku podmiejskim staną i już w najbliższym czasie zaczną się budować jako garden city robotnicze, dając przy budowie pracę setkom bezrobotnych. Zaczynają się sypać pierwsze grudy ziemi a posłowie chłopscy znowu podnoszą w garściach grudki tej męczącej, najwytrwalszej, najniezmożniejszej świętej ziemi wielkopolskiej i chowają je do kieszeni... Słońce świeci przez młode listowie majowych drzewek. Nieprzejrzane tłumy stoją wśród zieleni i po stokach pagóra, za którym o dwie wiorsty stąd dwór starszłachecki, w którym się urodził sam oberquartiermeister von Ludendorff...

Do jesieni stanie tu kopic podobny do kopca Kościuszki tylko już bez tej murywanej łajdackiej austriackiej korony. Tium stutysięczny śpiewa stary hymn do Boga „nierychliwego ale sprawiedliwego“, który Polskę przez tak długie wieki otaczał tarczą potęgi...

Prace kulturalne w Poznańskim

—o—

Wobec obstrzenia kwestji żydowskiej w Królestwie, przytaczają pisma tutejsze nieco cyfr, wskazujących, jak kwestja ta uregulowana została w dzielnicy Przemysławowej.

Ludność miejska w Poznańskim między rokiem 1870 a 1910 wzrosła z 434,533 do 722,076, w tem zaś liczba żydów w tymże samym okresie czasu spadła z 74,434 w r. 1870 do 25,294 w r. 1910.

Proces ten postępuje ciągle naprzód i dziś można określić liczbę żydów w Poznańskim na co najwyżej 12,000.

Miasta z ludnością do 2,000, mające jeszcze w r. 1870 20 proc. żydów, dziś nie mają ani jednego z nich; w miastach zaś, w których w r. 1870 liczba żydów wynosiła 70 proc., dziś spadła do 13 proc.

Ostatniemi czasy inteligencja poznańska zwróciła uwagę na konieczność pracy nad ludnością roboczą, której krocie pracują w zachodnich prowincjach Niemiec, a która podlega rozmaitym złym wpływom. Przedewszystkiem podniesiono sprawę wysyłania z pośród poznańskiej inteligencji prelegentów, instruktorów itp.

O kulturalnym/rozwoju Poznańskiego świadczy między innymi rozwój prasy, reprezentowanej obecnie przez 9 dzienników, z których największą poczytnością cieszy się „Kurjer Poznański“, organ demokracji narodowej.

Konkluzja.

—o—

Pomysł nasz, aby stolicę Polski przenieść do Poznania a Warszawę zdegradować, dopóki się nie wyleczy ze wszystkich chorób i przypadłości okazał się podobno za groteskowy, za fantastyczny i za literacki. Twierdzę z uporem, że jest to najłatwiejsze i najra-

dykalnie uzdrawiające, rozstrzygnięcie wielu palących kwestji. Że niekonięcznie największe miasto musi być stolicą państwa, tego przykład dają Stany Zjednoczone, gdzie stolicą rządu jest niewielki Wasyngton, a Nowy Jork jest tylko jednym z miast. Dzisiejsze Niemcy zdecydowały się nawet na zmianę tak radykalną jak przeniesienie Konstytuanty z Berlina do Weimaru. Kto wie, czy nie byłoby wskazaniem przynajmniej nasze ciało prawodawcze przenieść, skoro się wreszcie dokompletuje do Poznania, gdzie jest więcej gmachów i sal odpowiednich i gdzie żywiły przewrotu, rozkładu i konaszachtów to z Niemcami to z bolszewizmem czyłyby się nieco skrepowane i onieśmiałone.

W każdym jednak razie sądzę, że obecnie wszelkie zjazdy stronnictw, polityczne, zjazdy fachowców, ekonomiczne, zjazdy chłopów, sokołów młodzieży, kongresy naukowe i prasowe powinny się odbywać wyłącznie w Poznaniu. Wielkopolska i jej stolica jest najmniej znaną dzielnicą i najbardziej po macoszemu traktowaną. Galicjany, które bezwstydnie i cynicznie rzekły się zaboru pruskiego powinny tu pielgrzymować pieszo lub na klęczkach i tam na Placu Ratuszowym obsypywać swe głowy popiołem i kajać się i całować ziemię, żeby im przebaczyła. Królewicy w Poznaniu mogą się uczyć tych właśnie wszystkich cnót obywatelskich i socjalnych, które im brakują a jest tych cnót ze dwa tuziny. Jeżeliby się tylko oszczędności, sumienności, punktualności i pracowitości od Wielkopolan nauczyli, już jesteśmy narodem wielkim. Poznań działa regeneracyjnie, otrzeźwiająco, umoralniająco i w najwyższym stopniu edukacyjnie.

W Poznaniu niema ani szabesgojów ani żydłaków uczących nas patriotyzmu polskiego, ani kulturkempnerów patronujących stronnictwu niezawisłości zawodowej, ani łapowników notorycznych na fotelach prezesów klubów, ani byłych bolszewików w randze chefów sekcji, ani takich Frystydesów jak obywatel Jodko, ani takich Palmerstonów jakimi był Wasilewski, ani wogóle jednego egzemplarza z takich ptaków niebieskich politycznych, jakich setki wyroiło się w tej nieszczęsnej, galicjanizującej się i gangrenizującej Warszawie. Oczywiście, że pod mocnym szkłem mikroskopu i w tej czystej wodzie znajdują się małe żyjątka pasożytnicze, ale w bajorze warszawskiej i krótkowidz, któremu wybito lewe oko dojrzały mikroby i laseczniki rozrosły do rozmiarów małych prosiąt. Wiemy dobrze, że i w Poznaniu istnieje opozycja przeciw Radzie i komisarytowi i słyszeliśmy jej zarzuty i gorzkie żale. Ale przywleść tych malkontentów tutaj i niech przypatrzą się jak się gospodaruje w tej postępowej, radykalnej i nowoczesnej Warszawie i zobaczymy po krótkim czasie co

powiedzieli. W każdym razie ostrzegamy Wielkopolan, że warszawskie żydostwo już wyciąga swe macki i do grodu Przemysława. Z warszawskich pism sprzedają się w Poznaniu i czytają tylko „Robotnik“ i... „Kurjer Polski“ „Lengyel-Hirlap“ organ broniący interesów międzynarodowej plutokracji żydowskiej, ongiś chytrze lawirujące aktywistyczne pisemko, odbierające natchnienie z Wiednia.

W opozycyjnym piśmie poznańskim „Sprawie Polskiej“ znaleźliśmy już duże wywody jakiegoś tajemniczego Emwira z Warszawy o kwestji żydowskiej... obok artykułu p. Rusinka mocno żydowską ideologią warszawską zalutującego.

Wierzmy w mocne rządy Wielkiego Księcia Korfantego, tego doskonałego typu aryjskiego męża politycznego, niestrudzonego, niezmożonego organizatora i propagatora idei siły orężnej w Wielkopolsce, i bicz Bożego na szajkę żółtoczarnoczerwonych kabotyńców, wierzymy w mocny regiment całego zespołu świetnej Rady Naczelnej Ludowej i życzymy całej Polsce takich Adamskich i Krysiewiczów. Ale radzimy czuwać i strzedz! Caveant Corfantenes ne Magna Polonia quid detrimenti capiat. Hołówko bowiem ante portas!

Rozmieszczenie żydów na kuli ziemskiej.

—o—

Liczba ludności żydowskiej, która, według obliczeń w księdze „Esra“, wynosiła około 500 roku przed Chrystusem (gdyż tak daleko sięgają źródła) prawie 100,000, wzrosła w ciągu 5-lu wieków, t. j. do narodzenia Chrystusa, do 4 milionów, według obliczeń Harnacka („Die Mission und Ausbreitung des Christentums in den ersten 3 Jahrhunderten“) i Belocha („Die Bevölkerung der griechisch-romischen Welt“). Od tego czasu przez całe wieki średnie oraz w pierwszej epoce czasów nowożytnych następuje okres stagnacji, a nawet upadku. Złożyły się na to przede wszystkim prześladowania żydów podczas wojen krzyżowych, podczas inkwizycji hiszpańskiej, pogromu Chmielnickiego, ponad to zły stan stosunków gospodarczych. Około końca XVII wieku wynosiła liczba żydów miljon, był to jednak punkt zwrotny, od którego liczba ich zaczęła się nadzwyczajnie szybko podnosić, tak, że osiągnęła obecnie cyfry 12 milionów.

Jako przykład tego nadzwyczajnie szybkiego wzrostu niechaj posłuży Królestwo Polskie. Powszechne liczenie, sporządzone w 1772 roku w Polsce i na Litwie, podało liczbę żydów, tam zamieszkałych, na 308,000; już jednak na początku XIX wieku podaje Tadeusz Czacki („Rozprawa o żydach“) 408,000, kiedy, według konskrypcji z 1897 roku, podskoczyła ta liczba w samem Króle-

stwie Polskiem do 1, 321,000, w Galicji zaś do 811,000. Podobnie i Prusy miały w 1817 roku 123,921 żydów, a w 1903 roku już 410,080.

Na ogół przedstawia się liczba żydów dziś żyjących na podstawie przedostatnich urzędowych spisów ludności z roku 1897, w sposób następujący:

Całą kulę ziemską zamieszkuje blisko 12 milionów żydów, z tego na samą Europę przypada blisko 9 milionów, na Amerykę 2 miliony, reszta zaś na Azję, Afrykę i Australję.

W Europie zaś przypada na poszczególne państwa: Rosja 5,110,000 (44% ogółu żydów), Austro-Węgry 2,084,000, Niemcy 607,000, Rumunja 266,000, Anglja 250,000, Turcja 188,000, Francja 100,000, Bułgaria 37,000, Włochy 35,000, Belgja 25,000, Szwajcaria 12,000, Serbia 5,000.

W Ameryce przypada: na Stany Zjednoczone 1,777,000, Kanadę 60,000, Argentynę 40,000. W Azji, pierwotnej kolebce żydów, żyje ich 427,000, w Afryce 361,000, w Australji 17,000.

Charakterystyczne jest, że od czasu opuszczenia swych pierwotnych siedzib żydzi, aczkolwiek rozproszeni, koncentrowali się jednak zawsze głównie w jakimś jednym kraju. Do XI wieku główna masa ich przebywała w Babilonji, do XV w. w Hiszpanji, od XVII zaś wieku aż do naszych czasów „gros“ żydów mieszka w Polsce, na Litwie i Rusi, gdzie ekspansywna ich siła napatyka na najmniejszy upór.

W sprawach kolejowych.

—x—

Po wyrzuceniu z kraju okupantów w 11-iej połowie listopada r. ub. i objęciu kolei państwowych przez władze polskie, wysokie stawki przewozowe austriacko-niemieckie i wydatki stacyjne nie tylko nie zostały obniżone, ale przeciwnie o sto procent i więcej podwyższone. Zdawałoby się, że dochód kolei powinien się wobec tego znakomicie zwiększyć, jednakże, widocznie, tak nie jest, skoro według przewidywanego preliminarza budżetowego na okres od 1-go stycznia do 1-go lipca r. b., ułożonego przez Ministerstwo kolei żelaznych) tylko dla dwóch Dyrekcji—Warszawskiej i Radomskiej—przewidywany jest deficyt w sumie około ćwierć miljarde marek.

Ażeby pokryć niedobory, władze kolejowe, może, znowu zechcą podwyższyć stawki taryfowe, ale wtedy już ani o wskrzeszeniu przemysłu krajowego, ani o podniesieniu rzemiosł i rozwoju handlu nie mogłoby być mowy. Jedynie co pozostaje do zrobienia, to starać się o zredukowanie wydatków na utrzymanie kolei.

Do wzrostu wydatków eksploatacyjnych, niezależnie od niezwykle wysokich cen wszelkich surowców, nabywanych na potrzeby kolei, przyczyniło się nadmierne wyśrubowanie wynagrodze-

nia za pracę, gwałtowny spadek wydajności pracy, nieproporcjonalnie wysoka w stosunku do obecnego ruchu na kolejach liczba pracowników, brak wszelkiej organizacji pracy i brak nadzoru i kontroli ze strony organów kierowniczych nad działalnością młodszych funkcjonariuszów.

Nawet w dzisiejszych czasach wielu z tych niedomagań można byłoby uniknąć, gdyby do pracy organizacyjno-twórczej w Ministerjum Komunikacji powołani byli ludzie kompetentni i doświadczeni. Obecni bowiem kierownicy Ministerjum, jak dotąd, nie przeprowadzili żadnej absolutnie organizacji i są ludźmi, widocznie, niedostatecznie przewidującymi.

Wjesieni r. ub. nie było chyba jednego człowieka w Polsce, któryby nie zdawał sobie jasno sprawy z tego, co się dzieje na froncie zachodnim i nie przewidywał, że opiekunowie nasi zmuszeni będą wkrótce pożegnać się z nami, jednakże kierownicy Ministerjum Komunikacji tego nie widzieli, że nam Niemcy odrazu kolei nie oddadzą, a będą je oddawali częściowo—na raty—i dlatego żadnych przedwstępnych przygotowań do objęcia kolei nie robili. A kiedy 11 i 12 listopada zorganizowani w związek pracownicy kolejowi wydarli nareszcie z rąk okupantów koleje, nie pozwoliwszy im wywieźć taboru i w parę dni je uruchomił, to Ministerjum Komunikacji nie zdobyło się nawet na to, ażeby wydać rozporządzenie o zarejestrowaniu wszystkiego, co nam Niemcy zostawili. A przecież to było dobro narodowe, którem należało się zaopiekować.

W kasach stacyjnych pozostał po Niemcach pewien zapas biletów pasażerskich, które po wznowieniu ruchu w dalszym ciągu sprzedawano pasażerom, w braku biletów polskich; ale ile było tych biletów, jakich i na jaką sumę, władze nie wiedziały. Czyż wobec tego można było ustalić, jakie sumy ze sprzedaży biletów powinny być wpłynąć do kasy państwowej. Nie dosyć na tem, biletów właściwych, a zwłaszcza w komunikacji bezpośredniej, na stacjach niema jeszcze i obecnie. Pasażerom, zamiast biletów, kasjerzy wydają jakieś kwity, wypisane na drukach, używanych przez Niemców przy ekspedycji bagażu. I znowu nie sprawdzono zapasu tych druków i zadowolono się doniesieniami o tem stacyj.

O tem, że do warsztatów przyjęto parę tysięcy rzemieślników i robotników ponad normę, pisałem poprzednio w „Liberum Veto“, to samo jednak ma miejsce w innych wydziałach. Na stacjach węzła warszawskiego tyłu jest pracowników, ilu ich było przed wojną, chociaż te stacje, zwłaszcza na prawym brzegu Wisły, mają dziesięć razy mniej pracy, niż w latach przedwojennych.

Jeżeli, jak zaznaczył w Sejmie Minister Przemysłu i Handlu (20% węgla)

dostawianego z Zagłębia-Dąbrowskiego do Warszawy, ulatnia się w drodze, jeżeli łapownictwo i inne nadużycia szerzą się na kolejach jak zaraza, jeżeli już do tego doszło, że ludzie rzeczy cenniejsze nie tylko produkty spożywcze nawet z miejscowości odległych, wysyłają do stolicy przez żydów-furmanów, bo na kolejach kradną, to nie rozumiem, w jakim celu utworzono dobrze opłaconą armję różnych inspektorów, rewizorów i kontrolerów i uruchomiono liczną, doskonale uzbrojoną, straż kolejową. Czyż skarb państwa powinien ponosić takie straszne ciężary na opła-

cenie rzeszy pracowników, nie przynoszących państwu korzyści. I dla czego, pytam się, Ministerjum Kolei Żelaznych nie wejrzy w te sprawy i nie stara się wykorzenić zła, dopóki ono nie stało się powszechnem. Niestety, obecne władze kolejowe tak dalece pochłonięte są studjami przepisów i regulaminów austriackich, że na sprawdzenie tego, co się dzieje na kolejach brak im zupełnie czasu. Dodajmy do tego straszny we wszystkim chaos i bezład, a zrozumiemy dla czego wydatki eksploatacyjne kolei wzrosły do absurdu.
B. Młodowski.

Czem było „Liberum Veto”.

Liberum veto... Czyż jest w całej naszej prawno-politycznej po przodkach spuściznie instytucja bardziej krytykowana, uważana za większe zło i większą niedorzeczność? Siciński, który pierwszy 9 marca 1652 roku z owego nieszczęsnego prawa „Veta” skorzystał, jest w pojęciu ogółu jedną z najbardziej przeklinanych, najbardziej upiornych postaci naszych dziejów; Mickiewicz w „Popasie w Upicie” nazywa go „winnym wszystkich zbrodni”, a stare podanie twierdzi, iż ciało jego po śmierci ziemia przyjął do swego łona nie chciała. Od czasów Konarskiego, który liberum veto nazwał „nietykanym i strasznym bałwanem”, legjony całej naszej historjki i pisarzy politycznych zwalczały „wolne niepozwalam”, widząc w nim najklasycyjszy przykład polskiej anarchji, najbardziej jaskrawy dowód wadliwości naszego ustroju. Z drugiej znów strony poeci, zwłaszcza z epoki romantyzmu, idealizowali niekiedy liberum veto, jako do najwyższego stopnia posunięte poszanowanie swobody i indywidualności jednostki w stosunku do państwa i społeczeństwa. Do czasów ostatnich jednakże nie zdobył się nikt na gruntowne, bezstronne i sumienne zbadanie „Veta”—rozpatrzenie jego genezy i jego dziejów i porównanie go z podobnymi objawami w dziejach innych europejskich narodów. Dopiero podczas wojny podjął się tego olbrzymiego zadania profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Władysław Konopczyński i wykonał je, stwarzając jedno z najpiękniejszych, najkapitałniejszych dzieł w całej naszej historjografii*). To też dopiero dzięki pracy prof. Konopczyńskiego, możemy zastanowić się nad ideą liberum veto, możemy pokusić się o wyszukanie tych najgłębszych podstaw, na których opierała się zasada tak w naszym dzisiejszym pojęciu nielogiczna, jak podporządkowywanie woli i interesu całości pod wolę każdej z osobna jednostki, do tej całości należącej.

Na wstępie zauważyć należy, iż

*) Władysław Konopczyński — „Liberum Veto”, studjum porównawczo-histeryczne. Kraków 1918

zasada rządów większości tak powszechnie dzisiaj przyjęta i tak często za konieczną i naturalną uważana, (Spencer nazwał ją „boskim prawem ludów”) nie odrazu i nie zawsze za taką przez ludy europejskie była uznana. Na wiecach i naradach w średniowieczu nie liczone głosów, lecz je ważyono, tak, iż głos człowieka poważnego i wpływowego większe miał nieraz znaczenie, niż głos kilkudziesięciu np. młodych rycerzy, po raz pierwszy w naradzie uczestniczących. Kanoniści średniowieczni rozróżniali „maior pars” i „sanior pars”, twierdząc, iż większość wtedy tylko ma prawo rozstrzygać, jeśli jest jednocześnie „sanior” tj. rozumniejsza i cnotliwsza od mniejszości. Przy wyborach winna według, kanonistów decydować nie tylko liczba (numerus) ale i powaga (auctoritas) zasługa (meritum) i gorliwość (zelus) zarówno wyborców, jak kandydatów.

Najbardziej zaś lubili pisarze średniowieczni decyzje jednomyślne, występując zazwyczaj przeciwko tym, którzy swą opozycją powszechną jednomyślność i solidarność łamali. To też zasada jednomyślności, której prostą konsekwencją jest wszak prawo „wolnego nie pozwalam”, nie jest włączną cechą polskiego tylko parlamentaryzmu. Przeciwnie, spotykamy ją u kolebki wszystkich nowoczesnych ustrojów przedstawicielskich, zarówno w Anglii, jak w Niemczech, tak i w słonecznej Hiszpanji, jak w mroźnej Islandji. Podobieństwo między t. zw. dissentimientem, praktykowanym w kortezach aragońskich a naszym liberum veto jest tak uderzające, iż już Lelewel zwrócił na nie baczniejszą uwagę.

Gdy pod kątem tych podobieństw i analogji spojrzymy na liberum veto, instytucja ta przestanie nam się wydawać czemś potwornem i niezrozumiałem, wpływem jakiejś specjalnie polskiej anarchji, jakiegoś w naszym charakterze narodowym tkwiącego braku poczucia państwowego. Zasada rządów większości wszędzie wyrabiała się z trudem i powoli, pod wpływem życiowych doświadczeń. Że u nas wyrobiła się ona najpóźniej, że zasada jednomyślności

przetrwiała w całej swej sile aż do Konstytucji Trzeciego Maja t. j., aż do końca 1791 — dowodzi to niewątpliwie doktrynerstwa i tępego konserwatyzmu naszej szlachty. Z drugiej jednak strony nie możemy nie uchylić czoła przed poszanowaniem wolności jednostki i przed obawą tyranji większości, których dowody dali nań przodkowie, chroniąc jak oka w głowie tej swojej „żrzenicy wolności” — wolnego niepozwalam. I choć z obawy przed złem popadli w zło jeszcze większe, choć nie liczyli się zupełnie z ułomnościami ludzkiej natury, podziwiać musimy ich ukochanie wolności, oraz przecucie tych wszystkich złych stron rządów większości, które — z roku na rok stając się bardziej oczywistymi — powodują wśród społeczeństw współczesnych coraz silniejsze dążenie do reformy. Dzisiaj już bowiem nie wystarczy nam dowodzenie Benthama, który rozwijając zasadę jaknajwiększego uszczęśliwienia jaknajwiększej ilości ludzi, doszedł do wniosku, iż dwaj ludzie mają dwa razy więcej prawa do opieki ustawowej, niż jeden, trzej, trzy razy więcej i t. d. W takim rozumowaniu arytmetyka pochłonie wszystkie względy logiczne, polityczne i moralne. Pomijając już wzgląd, iż większość sejmowa wyraża zazwyczaj wolę tylko nieznacznej mniejszości narodu, pamiętać zawsze należy, iż dla polityki państwowej miarodajnym powinien być wzgląd na dobro Narodu jako całości, przez całą wielowiekową rozciągłość jego dziejów. Tak zaś pojęty interes narodowy może być sprzeczny z pojęciami i interesem większości w danym momencie żyjących obywateli, nieraz nawet całych kilku pokoleń. I żadnej niema gwarancji, że większość właśnie, nie zaś mniejszość, interes ten w danej chwili należycie zrozumie i odczuje. Na pamiętnym sejmie rozbiorowym jeden Rejtan postąpił tak, jak wzgląd na dobro Narodu nakazywał, wszyscy zaś im postawie, przedajni i małoduszni, postąpili przeciwnie. I niewątpliwie blizkim był dążeń i ideałów przodków naszych, ustanawiających liberum veto, Szyller, gdy w „Dymitrze” przedstawił on idealizowany obraz zerwania sejmku przez człowieka, któremu sumienie nie pozwala dopuścić do imprezy niesłusznej i politycznie szkodliwej. Występujący w wyprawie celem osadzenia Dymitra Samozwańca na tronie moskiewskim, Lew Sapiecha woła w dramacie Szyllera.

„Wcześniej czy później państwo runąć musi, W którym zwycięża większość, nie rozsądek, I bezrozumni rozstrzygają sprawę!... Ja śmiało stań przed sądem przyszłości, Bom ja publiczną nie frymażzył sprawę!”

Podobne do Szyllera stanowiska zajmują i nasi poeci-romantycz. Słowacki z entuzjazmem wyraża się o idei „liberum veto”. Według niego przodkowie nasi „prawo położyli jakby z oczekiwaniem na przyjście Chrystusa. Bo oto Chrystus, przyszedłszy, w starożyt-

nej ojców naszej Ojczyźnie, choćby się był w najniższym na ziemi obywatelu urodził, podług praw ojczyzny położyć mógł veto święte przeciw Herodowi!..." Mickiewicz zaś w swej „Literaturze Słowiańskiej” uważa liberum veto za najwyższy i najpełniejszy wyraz wolności osobistej każdego poszczególnego obywatela. „Wolność tę może on podczas obrad poświęcić rzeczy publicznej, ale także ma moc zawsze ją zachować, jest to stan, wymagający po obywatelu tej ciągłej ofiary, jakiej religja wymaga podobnie po sumieniu chrześcijanina. Polak uważa się być podległym społeczeństwu nie dlatego, że go tu wpisali przodkowie, ale, że sam je poślubił, jako najsprawiedliwsze, najlepsze i najpiękniejsze; przyznaje też sobie prawo nietylko je opuścić ale wstrzymać, gdyby widział, że schodzi na błędną drogę, rozmija się z właściwym mu celem”. Takie pojęcie nadało służbie publicznej i narodom sejmowym wprost religijny charakter. Że taki charakter miały one rzeczywiście, wskazuje formuła, podana w „Modus eligendi regis” z r. 1501, która króla obranego jednomyślnie uważa za wybranego za natchnieniem Ducha Świętego.

Jakże dalekim było jednak życie od tych przepięknych idei! Nie Chrystus zrywał sejmy, chcąc pokonać po-

dłości czy bezmyślność masy, lecz Judasz, sprzedający ojczyznę swą za obce srebrniki.

„Wolne niepozwalam — jak słusznie zaznacza Konopczyński — rodziło się w każdym pojedynczym wypadku nie w pełnej izbie, nie à l'improviste, nie w podniosłym nastroju, lecz gdzieś za kulisami, w gabinecie obcego ambasadora albo w stancji poselskiej, w karczmie, w mroku piwnicznym, przy akompaniamencie brzęczącej mamony”. Liberum veto stało się bronią przeciwko Polsce, używaną skutecznie przez posłów i agentów pruskich, moskiewskich i austro-ackich, oraz przez własnych naszych, o sobie tylko myślących, magnatów. Sami tylko Lubomirscy winni są zerwaniu aż siedmiu sejmów. Ze swej strony do zrywania sejmów dopomagali także Żydzi.

Idea „liberum veto”, jako idea państwa zbudowanego na wolności ducha ludzkiego, była zasadniczo rzecz biorąc niewątpliwie piękna i uszlachetniająca. Na wieczną chwałę przodków naszych stwierdzić należy, iż państwo tak zbudowane potrafiło istnieć a nawet być groźnym przez kilkadziesiąt lat, choć — jak słusznie zaznacza Kalinka — „cały ustrój Rzeczypospolitej opierał na dobrej woli obywateli”.

Ale z drugiej strony idea liberum veto, jak każdy ideał zbyt wysoki i nie-

możliwy w życiu do wykonania, nie tylko nie podnosiła moralnie społeczeństwa, ale przeciwnie w wysokim stopniu je demoralizowała. Chcieliśmy urzeczywistnić ideał swobody i bój się przed tyranią większości, a byliśmy do tego stopnia niepraktyczni, iż popadliśmy w zamian pod tyranię jednostek. Dopiero w epoce Sejmu Czteroletniego zrodził się pomysł bronięcia się przed wszechwładzą większości przy pomocy większości kwalifikowanej. Nie wyzyskiwaliśmy jednak w tym celu ani dwuzbowości ani też władzy monarszej.

Idea liberum veto była ideałem pięknym, wprawdzie i poetycznym, ale do gruntu anarchizującą społeczeństwo. Nic też dziwnego, że wprowadzała ona w zachwyt i podziw takiego klasycznego anarchystę i rozrywacza wszelkich więzów społecznych, jakim był Lew Tołstoj. Naród pragnący żyć i rozwijać się normalnie musiał z nią zerwać raz na zawsze. To też Konstytucja Trzeciego Maja w artykule VI stanowi: „Wszystko i wszędzie większością głosów udecydowane być powinno, przeto liberum veto, konfederacje wszelkiego gatunku i sejmy konfederackie, jako duchowi niniejszej konstytucji przeciwne, rząd obalające, społeczność niszczące, nazawsze znosiemy”.

J. Rembéliński.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Tanie wydawnictwo książkowe.

26 książek rocznie.

Powieści, pamiątki historyczne i popularno-naukowe.

Po 4-letnim zawieszeniu spowodowanym wypadkami wojennymi wznowia swe wydawnictwo.

Naczelnym Redaktorem Zdzisław Dębicki.
Henryk Mościcki.
Komitet Redakcyjny { Jan Tur.
Lucjan Zarzecki.

Katalogi i prospekty wysyła się bezpłatnie.

Adres Redakcji i Administracji — Sienkiewicza 12.

LIBERUM VETO

**KOMPLETY OD NUMERU
PIERWSZEGO**

do nabycia w Administracji przy ul. Sienkiewicza № 12.

PSYCHOLOG bada duchowy stan człowieka, charakter według metod naukowych na podstawie przebiegu linii znaków symbolicznych, złośliwych się na dłoniach. Przyjmuje od 4—7 po poł. oprócz świąt. Nowogrodzka 11. KAROL CHOBOT.

Żadnych nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Administracja „Biblioteki Dzieł Wyborowych”, ulica Sienkiewicza № 12, (dom Tow. Ubezpiecz. Rosja) oraz wszystkie księgarnie w Warszawie.

Prenumeratę i sprzedaż na Galicję przyjmuje biuro dzienników Hopsasa i Salomonowej w Krakowie, ulica Szczepańska № 9.

Łódź i okolice „Czytaj” — Piotrkowska 93.

Redaktor przyjmuje w lokalu redakcyjnym codziennie z wyjątkiem świąt i niedziel od g. 5—7 w.

Redaktor Adolf Nowaczyński.

Drukarnia Rybicki i S-ka, Żórawia 7.

Wydawca Stefan Dunin.